Nr. 172. Lwów — Wtorek dnia 30 Lipca. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 5 po południu z datą dnia następnego.
Przedpłata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie . 2 K. 20 h. w Niemczech . . . 3 . . w innych Państwach . . . 4 . .
Za zmianą adresu dopłaca się 40 h. [illegible]
Przedpłata na miejscu miesięcznie 2 K. [illegible] we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . 12 h.
[illegible]

# PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i przedpłatę miejscową przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Gubrynowicza we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia za wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 6 h.
[illegible]
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Rękopismów Redakcya nie zwraca.
Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: Wt. św. Abdona i Sennyi | Jutro: Śr. św. Ignacego Loj. | Maryny Emiliana | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca o godz. 4 min. 3 Zachód „ „ 6 „ 56 | Długość dnia godzin 14 min. 53 Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

**Czas odnowić przedpłatę!**

Wynosi ona na prowincyi:
miesięcznie 2 K. 20 hal.
półrocznie 13 „ 20 „
rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.

## Prawosławne seminaryum wołyńskie.

Pierwszą pracą do jakiej w niecnych swych celach politycznych zabrał się systematycznie rząd rosyjski zaraz po dokonanym rozbiorze Polski, było gwałtowne staranie się o zniesienie Unii, a zaprowadzenie prawosławia w krajach przez Unię Berestecką z prawdziwym Kościołem połączonych. W tym celu, jak wiadomo, znoszono unickie biskupstwa, klasztory i szkoły, zakładając w ich miejsce prawosławne i narzucając narodowi w miejsce usuniętych katolickich xięży — prawosławnych popów.

Chcąc bliżej poznać ludzi, których nadano narodowi do przewodniczenia mu na drodze doczesnej i wiecznej, zobaczmy, skąd brały się te ślepe narzędzia — jak je fabrykowano. Przypatrzmy się więc seminaryom duchownym w południowo-zachodnich prowincyach Rosyi, założonym przez rząd w celu kształcenia przyszłych zapaśników kościelnego odszczepieństwa. A ponieważ one, jako stworzone przez ten sam rząd i ku temu samemu celowi przeznaczone, nie wielce się od siebie różniły co do swej organizacyi, systemu wychowania i nauczania, wewnętrznego życia i sposobu myślenia swych alumnów, stosunków między przełożonymi a wychowańcami i t. p., przeto wystarczy, gdy dla tem konkretniejszego przedstawienia rzeczy zajmiemy się głównie jedną taką szkołą duchowną — a mianowicie, duchownem seminaryum wołyńskiem, założonem w Ostrogu w roku 1796-tym, — obecnie w Krzemieńcu istniejącem *).

Otworzenie seminaryum zostało przez prawosławne duchowieństwo Wołynia powitane z tajonem niezadowoleniem, ponieważ odtąd dla otrzymania parafii trzeba było przebyć „longam ordnamque artem" nauki. A ponieważ wobec tego trudno było zwerbować uczniów do nowej szkoły, nakazano dziekanom dostawić „dzieci", a ojcom, którzyby dobrowolnie oddać ich nie chcieli, zagrożono odebraniem parafii. Często „dzieci" ratowały się od wstąpienia do seminaryum przyjęciem sakramentu małżeństwa, co dawało niejakie prawo do prośby o probostwo i bez szkoły; nieraz znowu duchowne władze musiały się uciekać do pomocy policyi, w celu sprowadzenia dzieci do szkoły. Zebrawszy w podobny sposób przeszło 100 chłopców w wieku od 8 do 21 lat, nie można było myśleć o jakimś systemie, więc trzymano ich w jednej klasie po 2, 3 lat, stosownie do czynionych postępów. W początkach szkoła duchowna mając 3 kursa: „retoryczny, pietyczny i dwa gramatyczne" z językiem wykładowym łacińskim i trzech nauczycieli, stanowiła jedną całość wraz z niższymi oddziałami; ale ponieważ z usunięciem unickich xięży, trzeba było obsadzić mnóstwo probostw, to otwarto zaraz w początkach przy seminaryum „rosyjską szkołę", w którejby prędzej przygotowywano kandydatów stanu duchownego. — Często uczy się chłopiec w seminaryum, dojdzie do retoryki, — lecz tymczasem znudzi mu się nauka, wstępuje więc do rosyjskiej szkoły i za rok, dwa — dostaje probostwo. Wyposażenie seminaryum było tak liche, że głód, zimno i nędza były nierozłącznymi towarzyszami wychowanków od chwili wstąpienia do zakładu, aż do opuszczenia go po ukończeniu nauk i przejażdżek w celu szukania towarzyszki życia i parafii. Oto na całoroczne wyżywienie wszystkich wychowańców wyznaczono 650 rubli, a na ubranie ich wszystkich — 430 rubli. Zagadkową jest rzeczą, jakim sposobem komisarze seminaryum mogli jeszcze „robić pieniądze" kosztem wychowańców, o czem świadczą kary na nich za to nakładane. Wobec tego nie dziwne, że „filozofia" robiła gremialnie nocne wycieczki do cudzych sadów, skutkiem czego zwyczajnie na drugi dzień w refektarzu była „kasza" z kijów.

W relacyach prefekta czytamy, że „wielu księży nie przysyła dzieciom swoim wiktuałów, skutkiem czego one nie mając się czem żywić, potajemnie uciekają". Na *menu* w naszem seminaryum, aż do końca lat 1880tych, kiedy to zaczęły się już ukazywać niektóre ulepszenia, składały się głównie barszcz i kasza. Mięso, jeżeli było, to tylko takie, którego już nikt inny nie chciał brać. W składzie rzeczy, z których przygotowywała się kasza, główną rolę grały dwa przeważające elementa — krupy i mysi pomiót, który — trzeba przyznać — z biegiem czasu ukazywał się w progressywnie umniejszającej się dozie. Chleba wyznaczano ściśle ograniczoną skromną porcyę. Porządek i nakrycie stołu tak wyglądało: nakrycie składało się z talerza i łyżki, — widelce bowiem są zjawiskiem najnowszej epoki; dawano jeden nóż dla czterech, jedną wazę z zupą dla czterech, — i uczniowie jedli wprost z wazy nie nalewając do talerza, poczem jeden z nich brał z wazy mikroskopijną porcyę mięsa, krajał ostrożnie na maleńkie kawałeczki, posypywał solą, układał na środku, i kompania brała się do mięsa, którego przypadło 3, 4 kawałeczki na jednego. Wreszcie — wydobywano na środek wazę z całkiem zastygłą kaszą, skąpo polaną sadłem, a wtedy wszyscy razem mieszali ją łyżkami. Ponieważ był to *specyał*, przeto dawano ją w małej porcyi, jakby dla chorego; głód zaspakajano przeważnie barszczem, po zaniesieniu prośby do przełożonego o „przyczynek". Wówczas służący udawał się do „bufetu" i nabierał tego daru bożego z ogromnej drewnianej kadzi. „Bufet" była to mała nadzwyczaj nieznośnie cuchnąca izdebka obok jadalni. Często w kaszy były np. węgle, — a zarządzone pewnego razu w tym kierunku badanie, wykazało, że pochodziło to tylko z przyzwyczajenia kucharza, który jednym i tymsamym drągiem poprawiał ogień w piecu i mięszał kaszę w kociołku. Skromne te dania posłużyły do rozwoju pośród seminarzystów pewnej sztuki, a mianowicie, do zjadania jak największej ilości pożywienia w możliwie najkrótszym czasie. Niektórzy dochodzili w tym kierunku do perfekcyi, — zatrzymując odpowiednie „epiteta ornantia" do siwego włosu. — Czyjaż zasługą było obudzenie tej niekoniecznie szlachetnej konkurencyi, jeśli nie wyższych sfer? Nie do pozazdroszczenia też było położenie, dumnych na to — uczniów mieszkających po kwaterach. Przeważnie jadali oni na sucho i na zimno, używając gorącego jadła tylko w razach nadzwyczajnych; w mieszkaniu nie palili nigdy a wielu z nich przez całą zimę chodziło tylko w surdutach. Zarząd seminaryum starał się wszelkimi sposobami osłabić chroniczne głodomórstwo, na które skazanych było tyle młodych żołądków: jużto starając się u więcej zamożnych, — lepiej powiedzieć, u mniej biednych rodziców wyjednać jakąś prowizyę, — przynajmniej mieszek mąki, pół korca krup i ile można sadła; próbowano nieraz namówić klasztor do podobnej ofiarności; już też sam biskup dawał ze swych składów różnej mąki, krup, sadła, wieprzy ubitych dwa i krowę ubitą jedną. — Odziewano uczniów tak samo biedno, jak i karmiono.

W ogóle przykre były stosunki, pośród których upływały piękniejsze lata przyszłych pasterzy ludu! Dopiero z r. 1817ym, kiedy na utrzymanie uczniów przeznaczono 7.000 rubli, stało się możliwem zrobić szkolne życie więcej znośnem. Charakterystyczną z wielu względów w tym peryodzie istnienia Wołyńskiego seminaryum, zagrożonego przez pochód Napoleona, była jego podróż do Połtawy, dokąd nakazano je przewieść z całym skarbem. Zauważmy, że kiedy wzięto się do dzieła, jeszcze trwały wakacye i seminarzystów nie było w Ostrogu, skutkiem czego obrazek przesiedlenia seminaryum traci na sensacyi, jaka powstaje na samą myśl o tej wielkiej wyprawie.

Od Ostroga do Połtawy było 700 wiorst — droga niekrótka. Podróżnym dano prawo wymagać 50 podwód w oznaczonych w marszrucie miastach. 22-go sierpnia obóz z 62 podwód, naładowanych seminarzyckim i konsystorskim archiwem, biblioteką i wszelkim skarbem — rodzinami i mieniem nauczycieli ruszył w pochód — bogaty w epizody, w których od śmiesznego do wielkiego był tylko jeden krok; można to wnosić nawet z suchych raportów oficyalnych, w których rysują się sceny, świadczące, iż podróż ta była ciągłym szeregiem wypadków tragikomicznych, smutnych i przykrych tembardziej, że w liczbie podróżnych były kobiety i dzieci; tak, że mimo poezyi, na jaką składał się rozkoszny step ukraiński, był pochód ten mozolnym i uciążliwym. Ponieważ przewiezienie seminaryum było ciężką, naturalną powinnością dla całej okolicy, przez którą ta wyprawa przeciągała, któż jeśli nie nasi podróżni w pierwszym rzędzie i najdotkliwiej stawali się ofiarami niezadowolonych — i niejeden miły epitet lub życzenie wyrwało się pod adresem nieproszonych gości, z ust obowiązanych dostarczyć podwody, dla „jakiejś tam nieznanej i nikomu niepotrzebnej seminaryi". Podobnie i policya nie z osobliwszą przyjemnością i chęcią przy różnorodnych (!) swych kłopotliwych obowiązkach, zajmowała się szukaniem podwód, jak to czytamy w raportach „nie z radością a wzdychając," — co takie słowa urzędowe w rzeczywistości oznaczały, zobaczymy niżej, na wizycie u policmajstra! Przez cały miesiąc podróżowało seminaryum do miejsca swego przeznaczenia, do którego i nie doszło, bo oto przy końcu września, zatrzymano je, nakazując zostać w miasteczku Kobelakach — 60 wiorst od Połtawy oddalonem. Archiwum konsystorskie i seminarzyckie zwalono w wolnych salach sądu powiatowego, a nauczycieli razem z rodzinami rozmieszczono po kwaterach. Chodziło teraz o to, jak i gdzie prowadzić naukę, skoro zjadą się seminarzyści, względem których równocześnie z ruszeniem seminaryum z Ostroga, wydał biskup dziekanom nakaz, by natychmiast wszystkich studentów i uczniów wysłali za paszportami do Połtawy,—w jaki sposób miało się wysłać, pieszo, czy jak? nie było w rozporządzeniu wyrażone!—Po dłuższych naradach, jak urządzić tutaj seminaryum, zwrócono się z prośbą o poradę do małorosyjskiego generał-gubernatora, a ten odpowiedział filozoficznie: „wszystko uniewinniająca ostateczność okoliczności, nakazuje każdemu zadowalniać się tem, co można znaleść", a ponieważ jak to wszystkim wiadomo w Kobelakach nic wyszukać się nie da, więc dodawał Jego Ekscelencya gubernator — trzeba seminarzystów i wszystkich innych, którzyby się nie pomieścili w mieście, rozmieścić kwaterą po miasteczkach i wsiach powiatu. — Na szczęście jednak ta praktyczna i mądra rada Ekscelencyi-filozofa, na mocy której seminaryum, jak pułk żołnierzy rzucone po wsiach o 10 wiorst lub więcej oddalonych, miało w Kobelakach odbywać naukę, pozostała dla zapasu w krainie projektów, gdyż mimo ostrych nakazów biskupa, seminarzyści nie pokazywali się w Kobelakach; znalazł się tylko jeden miłośnik nauki, który zdecydował się odbyć tę niełatwą podróż. Mimo tego wszystkiego, biskup ówczesny znalazł sposób, by nie przerywać nauki: ostrymi nakazami zebrał młodzież w Ostrogu, mianował nauczycielami studentów, którzy z lepszym postępem ukończyli seminaryum i w ten sposób założył niejako tymczasowe seminaryum.

Tymczasem minęło już niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciela i wydano nareszcie długo oczekiwane, już nieco troskliwsze rozporządzenie, dotyczące powrotu seminaryum do Ostroga. Jednak i teraz nie o wiele względniejszymi były losy dla naszych podróżnych w tej wędrówce do ziemi obiecanej. Z miejsca przeprzążki wyjeżdżał zwyczajnie jeden z nauczycieli naprzód, by przygotować podwody na najbliższej stacyi, — jednak mimo to czekano nieraz i 2, 3 dni na miejscu. W czasie przeprawy przez jedną rzekę omal nie utonęło 5 wozów z archiwem. Często prefekt z trudem ledwie dobrawszy się do urzędnika, do którego należało staranie się o wyznaczone rozporządzeniem podwody, z niczem bywał odpędzony; a kijowski policmajster rzucił się z gniewem na czcigodnych xięży (prefekta i nauczyciela filozofii) i nahańbił ich słowami: „Ja cię zwiążę — krzyczał on — ja cię do kryminału wsadzę, na Sybir poszlę, związanego carowi oddam, brodę oberwę! ty chłop, ty chłop z chłopa; ty pop, a to wszystko jedno co chłop! ty chociażbyś był jeszcze sto razy starszy, niż protopop i wtedy chłop u mnie więcej znaczyłby, aniżeli ty!". Nareszcie skończyła się pełna prawie bajecznych przygód podróż naszego seminaryum. Rząd ocenił, we właściwy sobie sposób tę nadzwyczajną wędrówkę [illegible]gów", jako osobliwszą zasługę, wpisując to w formularzach uczestników. Po powrocie do Ostroga, odżyło seminaryum dawnym trybem, aż dopóki nie spadło nań nowe nieszczęście, wskutek którego przyszło mu znowu przeżyć jakiś czas wśród niemożliwych stosunków i koczować z miejsca na miejsce.

W czasie pożaru w Ostrogu r. 1821 ucierpiało wiele i seminaryum; zostały tylko mury, a jedynie bohaterstwu bibliotekarza trzeba zawdzięczyć uratowanie bardzo zagrożonych książek. Budynek seminaryalny przedstawiał ogromny ogorzały szkielet, a jednak nauka odbywała się w nim jeszcze przez 3 lata, mimo, że w czasie deszczu woda zaciekała do klas i niebezpiecznie było w nich przebywać; — wchód do sal nieraz był wodą zalany, a kurytarze rozpadały się wskutek tych kałuży. Uczniów rozmieszczono po domach mieszczańskich za wynagrodzeniem 50 kop. tygodniowo od jednego. Bogata biblioteka pojezuicka dotychczas nie zniszczona, gniła w salach bez dachu. Komisya, która oglądała wtedy budynek, podaje w swej relacyi, że niemożliwą jest rzeczą w nim uczyć, gdyż panuje tu zabójcza wilgoć, — zimny wiatr, dmuchający przez rozbite okna i podziurawione ściany nasypuje w zimie wiele śniegu, a przegniłe na słocie mury, zagrażają w każdej chwili życiu przebywających pośród nich! Na te wszystkie doniesienia nakazywał biskup i gubernator uczyć, jak można w dotychczasowem pomieszczeniu; a kiedy wreszcie wyczerpany w cierpliwości swej zarząd, zaapelował do uczucia ludzkości duchownej władzy, ukazując na to, iż w owych czasach zwyczajnie większe bywa staranie o zbrodniarzy, — otrzymał naganę za szorstkie i buntownicze wyrażanie się w raportach, z zakazem na przyszłość wszelkich podobnych rozumowań! W końcu zdobyto się na pokrycie słomą zabudowań, mieszczących w sobie bibliotekę. Nareszcie wynajęto dwa domy dla użytku seminaryum, w których trzy niewielkie pokoje przeznaczono na klasy, w każdej z nich mieściło się przeszło 100 uczniów, w drugich dwóch pokojach zwalono bez porządku gnijącą bibliotekę; resztę ubikacyj zajęli przełożeni. Seminarzyści zaś mieszkali nadal u biedniejszych mieszczan, gdzie z przyczyny kłótni, jaką zaczynał nieraz podpiły gospodarz przyszedłszy do domu, przychodziło często do bójki. Na wiosnę i w jesieni musieli tu uczniowie doświadczać stężałości błota, w jakie w tę porę zmieniały się ulice miasteczka; a ponieważ swej cerkwi nie było, to nakazane było tylko każdemu chodzić do najbliższej — swojej kwaterze. W r. 1825 umieszczono seminaryum w dawnych stajniach ks. Jabłonowskiego, gdzie były już większe wygody; były tu i piece, w których zresztą palono tylko tak długo, jak długo stały konie księcia. W tem pomieszczeniu były w niższej części otwory, którędy w zimie nawiewało sporo śniegu i gdzie z całego miasteczka chowały się psy podczas zimna, by posłuchać seminarzyckiej filozofii. Życie seminarzystów miało tutaj niektóre cechy, właściwe czasom patryarchalnym. Jeszcze żyjący xięża na Wołyniu opowiadają, jak to niegdyś w wolnych od nauki chwilach, nakarmiony duchownem pożywieniem młody retor uzbrajał się w długi pręt i pędził gęsi na łąkę, — filozof z podobnem zamiłowaniem zajmował się wołami lub końmi, a poważny pastoralista rąbał drwa. Tak wyglądało seminaryum Wołyńskie aż do czasu przesiedlenia go do Krzemieńca, gdzie zostało umieszczone w zabudowaniach niegdyś liceum Czackiego i tu obchodziło swój 100-letni jubileusz.

Gmachy objęte w stanie pewnego komfortu dziś z przyczyny zaniedbania przedstawiają zdezylowaną ruderę; już w 1880-tych latach hulał i tutaj po korytarzach chłodny wiatr tak samowładnie, że trudno było przejść nie przytrzymując ręką kapelusza na głowie; do pokoi nawiewał wiatr sporo śniegu przez szpary koło okien; ponieważ nie było zwyczaju palić w klasach, to temperatura spadała regularnie do 6°, dlatego uczniowie siedzieli w wierzchnej odzieży, rozgrzewając się w czasie pauz walką na pięści i różnymi pobojami, a nauczyciel w ciepłej odzieży robił spacer po klasie. Dla dopełnienia obrazu wystarczy, że do r. 1875 nie było w zakładzie nietylko wewnątrz czegoś w rodzaju klozeta, ale i na dworze nie było osobnego miejsca, przeznaczonego dla zaspokojania potrzeby fizycznej, wobec czego uczniowie wraz z nauczycielami zaspakajali takowe na wolnem powietrzu, koło składu drzewa; — nikogo to zresztą nie raziło, i trzeba było aż przyjazdu pewnego rewidenta z Petersburga, by zwrócił uwagę na powyższy brak! Wobec tego bardzo na miejscu byłoby jeszcze obchodzenie ćwierćwiekowego jubileuszu...

Omówiwszy w ten sposób stronę zewnętrzną seminaryum, poznaliśmy w jakich stosunkach zostają tam instytucye dla celów rządu uznane, toż wyobrazić sobie można, jakiej troskliwości doznają, i na jaki los skazane są instytucye podobnego rodzaju ku powyższym celom nie nadające się, gdyby nie zapobiegała temu naśladowania godna i żarliwość i staranie krzywdzonych w swych najsłuszniejszych i najświętszych prawach i wymaganiach! Ogólne tło obrazu nie zostanie rozjaśnione, jeśli nie zwrócimy uwagi na samą rdzenną sprawę, do której odnosiło się główne i bezpośrednie przeznaczenie i cel seminaryum jako zakładu naukowo-wychowawczego. I tutaj wszystko nosiło na sobie ten ciemny i przygnębiający charakter. Jak pożywienie dla żołądka było skąpe i niezdrowe, tak też pokarm duchowy był niedogotowany i mało pożywny; nie dostarczał duchowemu organizmowi wychowańca życiowych soków, nie zamieniał się w krew i ciało jego, lecz owszem, przyprawiony jak za dawnych czasów pieprzem w formie rózgi, — był dlań wprost szkodliwy. Atmosfera moralna, którą oddychał uczeń była zabijająca. Moralna siła wychowania była tak mało uwzględnianą, że trudno było na jej skuteczność, bez zaaplikowania pewnej ilości razów liczyć. Ponieważ nie było przeznaczonego i na ten cel funduszu, ściągali profesorowie z początkiem roku pewną kwotę od uczniów, na rózgi. Forma applikacyi była zwyczajnie szablonowa, lecz nie brakło też pod tym względem i wirtuozów.

Pod względem systemu wychowania, sposobu nauczania, stosunków koleżańskich i stosunków przełożonych z alumnami, zapasu wiadomości i inteligencyi nabywanej w szkole, — fizyognomia Wołyńskiego seminaryum nie przedstawiała żadnej osobliwszej różnicy po zrównaniu jej z innymi równorzędnymi zakładami owego czasu w krajach południowo-zachodniej Rosyi. Jakiegoż już systemu wychowania i nauczania spodziewać się tutaj możemy, jeśli najżywotniejsze potrzeby wychowańca, jak widzieliśmy, tak mało były uwzględnione. To też nie dziw, iż głównym środkiem wychowawczym był tutaj gruby teroryzm uprawiany na wielką skalę bądź zapomocą kija, bądź postów, a do reszty odbierający uczniom chęć do nauki i uniemożliwiający nabranie zamiłowania do niej. Za palenie tytoniu uczniowie nawet wyższych kursów bywali pociągani do odpowiedzialności. Całkowity brak wychowania był — rzec można — właściwością szkoły duchownej. Serce i uczucia ucznia były rolą nietylko zaniedbaną, lecz odłogiem leżącą, dla uprawiania której nikt trudów i starania poświęcić nie myślał; toż mogły tu bez przeszkody bujnie wyrastać ciernie i wszelkiego rodzaju chwasty! Skąd wziąć się mogła u wychowańca jakaś delikatność uczucia, jeśli cały system stosunków przełożonych do uczniów był osnuty na zasadzie „ty jesteś nędzny robak, a nie człowiek". Uległość i milczące poddanie się były uważane za cnoty upiększające człowieka i około wypielęgnowania ich grupowały się wszelkie starania przełożonych. Rektor-archymandryta inaczej nie przemawiał do ucznia, jak pełnymi pogardy słowy „ty bydlę". Wielce rzadkim fenomenem bywał tutaj przełożony, którego nazwisko nie było dla uczniów groźbą lecz synonimem jakiej takiej życzliwości, lub choćby tematem do wesołych żartów.

Pierwszym skutkiem podobnego systemu był brak zaufania do przełożonych, tak, że uczeń, patrząc z podełba na przełożonego, chował przed obliczem jego wszelkie porywy swej duszy pod żelaznym zamkiem niedowierzania i milczenia, a największą dlań przyjemnością było zrobienie jakiejś przykrości znienawidzonemu wychowawcy. Wobec tego, przy tak starannem usunięciu wszelkich uszlachetniających młodą duszę elementów, niższe jej instynkta, coraz szersze zajmowały pole. Nawet człowiek z silnymi nerwami nie potrafi wysłuchać spokojnie niejednego opowiadania z tej niedawnej przeszłości. Np. truparnia była w pokoju, którego okna znajdowały się naprzeciw okien studenckiej sypialni, tak, że kiedy w truparni kto leżał, na ścianie sypialni naprzeciw okna trupiarni, kiedy zgaszono światło, odbijał się obraz katafalku i ostry profil nieboszczyka. Było zwyczajem, że koło zmarłego kolegi, dyżurem czytano psałterz. Pewnego razu, czytać w nocy przyszła kolej na ucznia, o którym wiedziano, iż boi się nieboszczyków. Pogrążony w czytaniu chłopczyna nie zauważył, kiedy wyszli koledzy i on jeden został z trupem. Zalękniony, po chwili odrywa oczy od książki i patrzy na nieboszczyka, gdy w tem zdaje mu się, iż ten ruszył palcem; zdenerwowany tem w wysokim stopniu, wpatruje się dobrze w trupa — widzi znowu to samo — i w jednej chwili pada bezprzytomny na ziemię. Pokazało się potem, że koledzy wiedząc o jego słabej stronie, chcieli się zabawić w tym celu przywiązali nitkę do palca nieboszczyka, przeciągnęli ją przez otwarte okno, a potem wyszedłszy cichuteńko na dwór — gdy ten czytał, pociągali za nitkę, z przyjemnością śledząc „za efektem". To był „dowcip".

Surowość porządków wpływała bardzo na zdziczenie wychowańców; widząc srogość ze wszech stron — mimowoli przejmował się tem i uczeń, dając folgę swemu żądnemu zemsty uczuciu krzywdy na młodszym i słabszym towarzyszu. Tak — pastoralista odbijał swe razy na pierwszym lepszym retorze, który mu się nawinął pod ręce, a ten ostatni, milcząc, znosił poboje w przekonaniu, że to już od Pana Boga tak ustanowione, mając swoją drogą nadzieję powetować swoje, kiedy sam zostanie pastoralistą i t. p.

W czasie wakacyj seminarzyści, by coś zarobić, odziani w długie, różnokolorowe chałaty z płótna, gromadnie chodzili po chatach, śpiewając pieśni kościelne t. zw. „kanty", nazwani stąd przez lud „myrkunnyki". System nauczania polegał na prymitywnych i niedydaktycznych zasadach. Wiele czasu tracono na przepisywanie lekcyj, bo podręczników nie było. W treść przedmiotu nie wnikano, a chodziło tylko o zapamiętanie związku słów i pojedyńczych zdań. Często profesor wywoławszy ucznia, zaczynał od początkowych słów zadanej lekcyi, a uczeń miał dalej recytować, by zadowolić nauczyciela. którego wykład zaczynał się od grubijańskich słów — zachęty do nauki — polegał na zadaniu lekcyi z książki (czemu często przez stróża szkolnego zadośćczyniono, zaznaczając w książce skąd, dokąd), rozmaitych groźbach i odpytaniu, przyczem profesor nawet na najwyższym kursie przytrzymywał się z taką ścisłością litery, że śledził palcem po książce, a w razie opuszczenia „i" — z gniewem mówił: „jak ty możesz co opuszczać, wszak to nie twej głowy ludzie napisali to". Nauka logiki, przyswoiła uczniom chyba pewną ilość niezrozumiałych słów: subjektywny, objektywny, idealny, realny.... albowiem nie bawiąc się w objaśnienia rzeczy, wymagano tylko ściśle, aby uczeń umiał na pamięć wyliczyć np.: prawidła myślenia, jak się one nazywają, ich kategorye itp. W ten sposób uczono myśleć! Fizyką, jak również historyą powszechną, nikt się nie zajmował, były to bowiem przedmioty, do których najmniej przywiązywano znaczenia. Lektura była czemś wówczas tutaj nieznanem między uczniami, ograniczała się co najwyżej ze strony kilku jednostek na czytaniu ksiąg kościelnego nabożeństwa. Szpiegostwo i denuncyacya kolegów były tu na porządku dziennym, wywołując jak to najczęściej w podobnych wypadkach bywa, prześladowanie niewinnych.

Nareszcie kończą się długoletnie i przykre cierpienia naszego alumna; automat nie nauczony samoistności i w swych pojęciach najmniej jej posiadający, zatumaniony, wystraszony i moralnie przygnębiony, wypuszczony z seminaryum, odrazu postawiony bywa na świeczniku, „by oświecić zmrok, nawiany wiekową niewolą i zabójczym oddechem zachodu w czasie, kiedy te kraje nawrócone były do Unii, która panowała tutaj przeszło cały wiek, i która wszelkie piękne religijno-moralne pojęcia zniszczyła i zabiła na długo!" (Słowa autobiografa x. A. Sendulskiego)

Słaby ten obrazek, tu skreślony, daje nam poznać, jak fabrykowano, i jaką mogła być owa falanga ludzi, którzy mieli za zadanie „uporządkować sprawy i przyprowadzić do świetności, podupadły za czasów Rzeczypospolitej polskiej Kościół, a zarazem podnieść religijno-moralny poziom narodu!!"

W Stryju w lipcu 1907 roku.

*X. A. K.*

*) Jako materyał posłużyły mi głównie: Konst. Chraniewicza „Skytalczeskaja sudba Wołyńskoi Semynaryi", (Kijewska Staryna rok 1896. T. LIII). „Pry starych porjadkach" (Kij. St. r. 1896. T. LV). Autobiografia prawosławnego popa Apolinarego Sendulskiego, w latach 50-tych wychowańca wspomnianej szkoły, drukowane w „Kijewska Staryna" r. 1896. T. LV. Materyały te mają dla nas poważną źródłową wartość, pochodzą bowiem od ludzi, którzy byli bliskimi lub uczestnikami zanotowanych faktów — jak autobiograf — lub zapisali to, co słyszeli — jak Chraniewicz — od starych xięży, niegdyś wychowańców owej szkoły duchownej. Obraz na podstawie tego materyału skreślony w dość ponurych barwach, nie przesada to jednak, gdyż oparty on na materyale pochodzącym od ludzi oddanych swej cerkwi i lojalnych, którzy chętniej byliby w lepszem świetle tę sprawę przedstawili! Także vide: „Kijewska Staryna r. 1896. T. LII, str. 76. Dalej T. LIII, str. 225, 246, 247.

## Korespondencye.

**Wiedeń**, 27 lipca.

*(Rokowania handlowe z Serbią. Nowe rozszerzenie Wiednia. Tragedya nałogowego pijaka).*

(y). W rokowaniach o traktat handlowy z Serbią nastała znów kilkudniowa pauza, pomimo, iż delegaci obu państw dokładają wszelkich możliwych starań, ażeby doprowadzić sprawę do pomyślnego końca. Zwłaszcza serbscy politycy są jakby w gorączce i napierają na jak najrychlejsze ukończenie interesu, gdyż serbscy rolnicy są po prostu w rozpaczy z powodu trwającej już od przeszło roku wojny celnej z Austryą. Skutkiem zamknięcia granic Austryi dla importu bydła i nierogacizny z Serbii, ponoszą producenci serbscy już do tej pory stratę przeszło 25 milionów franków, nie dziw tedy, że pragną gorąco przywrócenia tego stanu, jaki istniał przedtem. Na to jednak ani austryaccy ani węgierscy delegaci zgodzić się nie chcą, a szczególnie Węgrzy pod żadnym warunkiem nie chcą pozwolić na ponowne otwarcie granic dla importu żywego bydła serbskiego. Na import mięsa z Serbii godzą się pełnomocnicy zarówno Austryi jak i Węgier, to jednak Serbom nie wystarcza i oświadczają oni, że bez możności wywożenia bydła do Austro-Węgier nie miałoby dla nich zawarcie trakta-

tu handlowego żadnej wartości. Przerwano tedy na kilka dni rokowania celem zasięgnięcia nowych instrukcyi. W ostatecznym razie pragną Serbowie zawrzeć bodaj prowizoryczną umowę, obowiązującą tylko po koniec roku bieżącego, byleby w niej pozwolono serbskim producentom wywieść do Austryi w ciągu tych kilku miesięcy pewien ściśle oznaczony kontyngent bydła.

Ściślejszy wydział tutejszej rady miejskiej uczynił wielki krok naprzód, celem urzeczywistnienia wspaniałego projektu burmistrza Dra Luegera, otoczenia całego Wiednia wieńcem ogrodów, łąk i gajów, otwartych oczywiście dla publicznego użytku i należycie pielęgnowanych. Oto na ostatniem posiedzeniu wspomnianego wydziału uchwalono zakupić na rzecz gminy za półtora miliona koron prześliczną posiadłość wiejską Kobenzl, położoną tuż pod Wiedniem, koło Kahlenbergu, doprowadzić do niej tramwaj elektryczny, w parku tamtejszym urządzić promenady i miejsca zabaw. Obszar tej nabytej przez gminę posiadłości wynosi 1,345.700 metrów kwadratowych, a zatem mniej więcej tyle, co cała dzielnica Mariahilf. Ogrodu jest tam 135.000 metrów kwadratowych, a lasu 830.000 metr. kw. Z budynków znajdują się tam piękny zamek, zbudowany przy końcu ośmnastego stulecia przez hr. Kobenzla, zabudowania folwarczne i oberża. Za kilka lat stanie tam niezawodnie cały szereg wspaniałych will i hoteli. Pierwotnie była ta posiadłość własnością zakonu OO. Jezuitów, po kasacie tego zakonu nabył ją austryacki minister stanu Jan Filip hr. Kobenzl i od niego otrzymała ona swą dzisiejszą nazwę. Hr. Kobenzl wybudował tam zamek; założył prześliczny park i mieszkał tam aż do końca życia. Po jego śmierci czarująca ta posiadłość zmieniała często właścicieli. Spadkobierca Kobenzla hr. Coronini sprzedał ją baronowi Pfaffenhofen, od niego zaś nabył ją Karol hr. Reichenbach, który zajmował się gorliwie rozmaitemi doświadczeniami z dziedziny chemii, tudzież spirytyzmem, skutkiem czego ludność okoliczna nazywała go czarownikiem z Kobenzl. Parafinę i kreozot uważać można za wynalazki hr. Reichenbacha. Po śmierci jego przez długi czas nikt nie chciał kupić zamku Kobenzl, gdyż fantazya ludu uznała go jako zaklęty. Dopiero w szóstym dziesiątku lat ubiegłego stulecia nabył go br. Sothen, a po jego śmierci w roku 1881 jeszcze kilka razy zmieniał Kobenzl właściciela, obecnym zaś właścicielem, który sprzedaje tę posiadłość gminie, jest fabrykant F. Schmitt. — Opinia publiczna z największą radością przyjęła wiadomość o nabyciu przez gminę tego kompleksu pól, łąk, lasów i ogrodów, gdzie tysiące mieszkańców Wiednia będzie mogło napawać się czarami przyrody i oddychać świeżem powietrzem. Gdzieindziej niestety zarządy komunalne pozwalają zabudowywać lub nawet same zabudowują wszystkie wolne place w obrębie miasta i przez to pogarszają jego warunki zdrowotne, natomiast zarząd stolicy państwa wszystkiemi siłami stara się dostarczyć mieszkańcom jak najwięcej powietrza.

Przed tutejszym trybunałem karnym rozegrał się wczoraj proces, który mógłby realistycznym pisarzom posłużyć za temat do powieści. Na ławie oskarżonych zasiadł 55-letni stolarz Franciszek Weber, oskarżony o zbrodnię obrazy majestatu. Popełnił on ją po pijanemu w departamencie ubogich tutejszego magistratu wobec wielu zebranych tam osób. Ten Weber był internowany w domu waryatów z powodu obłędu opilczego. Gdy jest trzeźwy, żałuje nieskończenie tego, co robi, i pragnie stać się porządnym człowiekiem, niestety kończy się jedynie na dobrej chęci. Przy rozprawie na zapytanie przewodniczącego, czy poczuwa się do winy, odpowiedział Weber: „Tak! Gdybym wówczas tego jakoś zabił lub podpalił cudzy dom, nie poczuwałbym się do winy, ale tego nie mogę sobie darować, żem obraził naszego dobrego Cesarza i za to zasłużyłem, aby mnie jak najsurowiej ukarano." W dalszym ciągu przesłuchania opowiadał ten nieszczęśliwy człowiek, że czyn swój popełnił pod wpływem irytacyi, w jaką wprawił go urzędnik magistratu, oświadczając mu, że każe go odstawić szupasem do jego gminy przynależności, w której on nigdy nie był. „Tymczasem — rzekł Weber — ja chciałem, aby mnie albo zamknięto w areszcie, albo napowrót odesłano do domu waryatów, bo wogóle szukałem ratunku przed samym sobą. Mam bowiem taką nieszczęśliwą naturę, że jeżeli nie piję, to nie mogę pracować, a jak zacznę raz pić, wówczas nie ma temu końca." Trybunał uwolnił pijaka od oskarżenia, przyjmując, że popełnił on czyn swój w stanie niepoczytalności. Zapewne umieszczony on zostanie znów w domu waryatów.

## Wypadki w Rosyi.

**Petersburg.** Skutkiem zakazania kadetom odbycia kongresu w Rosyi, postanowili oni odbyć zgromadzenie delegatów w Finlandyi, celem naradzenia się nad udziałem w najbliższej kampanii wyborczej.

Dzienniki donoszą o wykryciu rzekomego spisku na ministra wojny Roedigera. Kilka skompromitowanych osób uwięziono.

**Tyflis.** Z pośród pakietów, nadesłanych z Banku cesarskiego w Petersburgu do tutejszej filii, zniknął jeden pakiet, zawierający 100.000 rb.

**Warszawa.** Włościanie gminy Teresipol w pow. zamojskim, gub. lubelskiej, rozpoczęli wyrąb lasów ordynata Maurycego hr. Zamoyskiego. Służby leśnej wprost nie dopuszczają do lasu. Jeden gajowy zabity. Naczelnik powiatu zamojskiego wysłał strażników.

**Wilno.** Do kantoru Falkowskiego wpadł tłum rabusiów, zamordował siostrę Falkowskiego, poczem zrabował kosztowności.

**Wilno.** Jenerał Rennenkampf wydał następujący rozkaz do podwładnych mu wojsk: „Onegdaj o godzinie 4, a więc niebawem po otwarciu rogatki celnej, na granicy rosyjsko-pruskiej, ale już na rosyjskiej połowie mostu pogranicznego, na drodze, wiodącej do komory władysławowskiej, zebrało się 15 nieznanych ludzi. Z grupy tych ludzi oddzielił się jeden i przeszedł z mostu na drogę, prowadzącą do komory celnej. Dyżurujący przy rogatce dozorca Nowicki zaproponował nieznajomemu, żeby albo udał się na komorę, albo też opuścił terytorium rosyjskie. W odpowiedzi na to, nieznajomy zaczął obrzucać wymysłami dozorcę Nowickiego, następnie zaś rzucił się na niego z gołym kijem ze słowami: „A, zdobycz Rosyanina, masz więc za to!" — poczem zadał mu cios w rękę. Dozorca obnażył pałasz i zaczął odbijać sypiące się na niego razy.

„W tejże chwili z zabudowań patrolu, broniącego komory, rzucili się na pomoc Nowickiemu szeregowcy: Walenty Zworykin i Franciszek Chmielewski. Ten ostatni dobiegł pierwszy i usiłował odepchnąć nieznajomego od dozorcy Nowickiego, otrzymał jednak dwa uderzenia kijem. Wówczas Chmielewski zadał nieznajomemu dwa silne ciosy kolbą w piersi i w twarz i usiłował go zatrzymać, został jednak powstrzymany przez członka komory, Oszmińskiego, który zwrócił uwagę, że nieznajomy, cofając się, zdążył już przejść na pruską połowę mostu. Nieznajomy wpadł na terytorium pruskie i grożąc i wymyślając, poszedł w kierunku Szyrwint.

„Z wyłuszczonego powyżej przebiegu tego zajścia, dochodzę do przeświadczenia, że ciosy, zadane nieznajomemu przez szeregowca Chmielewskiego, nie były zbyt poważne, jeśli po ich otrzymaniu był on w stanie odejść. Jeśli bić, to bić tak, aby wystarczyło jedno uderzenie. Tak samo — jeśli kłóć bagnetem, to tylko raz jeden, lecz odrazu na śmierć, strzelać zaś — to jeden wystrzał, ale taki, żeby odrazu był trup. Wówczas istotnie powiem, że żołnierz jest zuchem, nie żartującym z bronią swoją.

„Od każdego dowódcy korpusu wojskowego wymagam, aby powierzone ich pieczy oddziały były wychowywane bezwarunkowo w duchu poszanowania dla oddanej pod swoją opiekę broni w tem znaczeniu, żeby broń była zawsze groźną w rękach każdego żołnierza, i żeby spokojny obywatel widział w nim wydobywającą zaufanie obronę, zuchwały zaś wróg i gwałciciel porządku — nieuchronną karę, w razie oporu, za swój występek. Tylko w takich warunkach, przy wzbudzeniu strachu przed bronią, jest możliwe zmniejszenie się liczby napadów na posterunki i dopilnowane oddziały wojskowe.

(Podpisał): *Jenerał-lejtnant Rennenkampf*".

**Warszawa.** Jeden z tutejszych kupców znajdował się na tym parowcu, który rewolucyoniści rozgrabili przed kilku dniami na Wołdze. Wróciwszy do Warszawy, opowiadał ów kupiec dziennikarzom, co następuje:

„Była godzina pierwsza w nocy; więc też na statku, którym o godz. 9 wiecz. wyjechałem z Permu, większość pasażerów ułożyła się już do spoczynku. Kilkunastu tylko maruderów, a wraz z nimi i ja, znajdowaliśmy się jeszcze na pokładzie, rozkoszując się widokiem pięknej nocy. Wtem na dole, w kajutach trzeciej klasy rozległ się huk wystrzału. Nim zdołaliśmy skierować nasze kroki w tym kierunku, aby zobaczyć co się stało, rozległa się istna kanonada strzałów. Po chwili przebiegło koło nas kilku młodych ludzi z rewolwerami w rękach, wołając:

— Nie ruszać się z miejsca, ręce do góry!

Przycisnęliśmy się do baryery, nie zdając sobie sprawy z położenia. Napastnicy tymczasem przebiegli obok nas i dali salwę do służbowego pokoiku kapitana statku. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a kapitan i sternik padli na podłogę. Rzuciliśmy się po schodach do kajut. Przy wejściu do oddziału maszynowego, spotkaliśmy kilku ludzi z rewolwerami, którzy wołali:

— Wstrzymać maszyny, bo rzucimy bombę!

Nie zdążyłem wpaść na korytarz kajutowy, gdy rozległ się ogłuszający huk. Napastnicy spełnili groźbę. Parowiec stanął.

Na pokładzie rozlegały się jeszcze strzały, w kajutach płacz spazmatyczny kobiet i krzyk nie do opisania. Zbudzeni ze snu pasażerowie w bieliźnie biegali w szalonym popłochu. Paniki tej wprost opisać niepodobna.

— Rozbójnicy! Zamykać się w kajutach — zawołał jeden z majtków i w tej chwili padł trafiony kulą. Wpadłem do mojej kajuty. Przez drzwi usłyszałem czyjś donośny głos:

— Wychodźmy z kajut i oddajmy wszystkie pieniądze, a prośmy o darowanie życia!

Wziąłem do ręki portmonetkę i stanąłem przed drzwiami kajuty. To samo uczynili inni pasażerowie. Stojący przy drzwiach ludzie z rewolwerami rozsunęli się. Ukazała się na korytarzu wysoka postać. Był to niewątpliwie wódz wyprawy. W jednej ręce miał rewolwer, w drugiej kindżał, a za pasem wetknięte jeszcze dwa rewolwery. Za nim postępowało kilku ludzi z karabinami mauserowskimi.

Ten sam pasażer, który pierwszy zapanował nad sytuacyą i wzywał podróżnych do dobrowolnego oddania pieniędzy, zbliżył się do niego ze słowami:

— Oddajemy pieniądze i kosztowności — darujcie nam tylko życie.

— Nam niepotrzeba waszych pieniędzy i życia waszego — odparł współczesny Rinaldo Rinaldini. — Konfiskujemy tylko pieniądze carskie! Nie bójcie się, zabijamy tylko tych, którzy noszą mundury carskie.

To powiedziawszy, przeszedł wzdłuż kajut pasażerskich i zniknął za drzwiami oddziału służbowego. Strzały umilkły, na statku zapanowała cisza. Nie śmieliśmy się ruszyć z miejsca, patrząc w milczeniu na kałużę krwi i zwłoki zamordowanego marynarza. Tak upłynęło długie, ciężkie pół godziny.

Wreszcie ktoś z góry krzyknął: „Odjechali!" Na statku zapanował znów ruch. Wybiegłem na pokład. Napastnicy spuścili szalupę i popłynęli ku brzegowi, gdzie w oddali migotało światło rozpalonego ogniska. Tam niewątpliwie czekali wspólnicy „ekspriopriatorów" wraz z końmi.

Na statku, jak się następnie dowiedziałem, urzędnicy pocztowi wieźli znaczną sumę pieniędzy, która stała się też łupem napastników. Z podróżnych nikogo nie ograbiono. Ten zbrojny napad jednak pociągnął za sobą cztery ofiary. Oprócz zabitego obok mnie majtka, w trzeciej klasie zabito strażnika policyjnego i podoficera, a strzałami do budki kapitańskiej, zraniono kapitana w nogę.

Na zakończenie muszę dodać charakterystyczny szczegół. Napastnicy wtargnęli do bufetu i zażądali prowiantów. Przerażony właściciel restauracyi dał im czego żądali.

— Co się należy? — zapytali.

— Nic — odparł właściciel restauracyi, szczęśliwy, że się na tem tylko skończyło.

— Nie potrzebujemy jałmużny, mów co się należy.

— Trzy ruble.

— Za mało, masz dziesięć — i zapłaciwszy tę kwotę „ekspriopriatorzy" odeszli, pozostawiwszy w zdumieniu restauratora, który z pewnością nie miał jeszcze tak szczodrych klientów. Ale łatwo być szczodrym ze skradzionych pieniędzy.

Taki miała przebieg ostatnia „ekspriopriacya" na Wołdze podług opowiadań naocznego świadka. Jest ona jaskrawą ilustracyą panujących obecnie w Rosyi stosunków, w które trudnoby uwierzyć, gdyby nie były one rzeczywistością i nie powtarzały się niemal codziennie na całej przestrzeni państwa rosyjskiego. A jeśli dodamy, że z „rewolucyjnymi ekspriopriatorami" rywalizują skutecznie pospolici bandyci i rozmaite szajki „anarchistów-komunistów", które nie gardzą dobytkiem zwykłych „burżujów", będziemy mieli całkowity obraz warunków, w których ma narodzić się nowa duma. Nie są one zbyt pomyślną wróżbą: „ekspriopriacya" stanie się niewątpliwie skuteczną bronią w rękach antikonstytucyjnej reakcyi.

**Moskwa.** Dziennik *Gołos Moskwy* podaje szczegóły spisku na życie cara. Jedna z grup socyal.-rewolucyonistycznych, stanowiąca jądro petersburskiego komitetu organizacyi bojowej, na czele której stała „towarzyszka Nina" i adwokat Teodozjew, uplanowała szereg politycznych mordów. Jedne z nich miały być zemstą socyalistów na członkach rządu za ich przeszłą i obecną działalność, drugie miały na celu wywołanie przewrotu państwowego. Organizacya bojowa skazała tedy na śmierć: głównego prokuratora wojennego Pawłowa, petersburskiego naczelnika miasta von der Launitza, byłego ministra spraw wewnętrznych Durnowa, prezesa rady ministrów Stołypina, Wielkiego ks. Włodzimierza Aleksandrowicza i Wielkiego Ks. Mikołaja Mikołajewicza. Ten szereg zabójstw miał być zakończony zabójstwem cara. Rozpoczęto od Pawłowa aliści wkrótce po tem morderstwie policya wpadła na trop spiskowców. Główną osobą działającą była „towarzyszka Nina", zręcznie unikająca więzienia, ukrywająca się to w Moskwie, to w Petersburgu. Po zabójstwie von der Launitza, stwierdzono czynny w niem współudział „towarzyszki Niny" i wykryto laboratoryum, w którem przygotowywano materyały wybuchowe i bomby, ale przywódzcy organizacyi zdążyli się ukryć.

Nieudany zamach na wykolejenie pociągu, którym jechali do Carskiego Sioła Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz i Stołypin, był przygotowany przez tę samą organizacyę. Po tych zamachach policya wykryła ślady organizacyi.

Zwrócono mianowicie uwagę, iż syn jednego z urzędników telegrafu w Petersburgu, począł zawiązywać znajomość z przychodzącymi na wartę żołnierzami gwardyi i z kozakami. Prócz tego w Carskiem Siole, Peterhofie, Oranienbaumie i Gatczynie, zaczęli się ukazywać inteligentni ludzie, mężczyźni i kobiety, starający się nawiązywać przyjazne stosunki z urzędnikami ochrany, służbą dworską i wogóle ze wszystkimi, kto miał jakiekolwiekbądź stosunki z Dworem. Przyjezdni studyując miejscowość, postępowali według tego samego programu, co ów syn telegrafisty, t. j. starali się dowiedzieć o wszystkich szczegółach życia carskiej rodziny.

Cała uwaga organizacyi była wówczas zwrócona na Carskie Sioło, w którem car mieszkał. Spiskowcy głównie się interesowali przyjazdami ministrów do pałacu. Doszło do tego, iż jeden z rewolucyonistów zaproponował znajomemu urzędnikowi ochrany znaczną sumę za wiadomość o dniu przybycia prezesa ministrów. Ta kosztowna ciekawość wzmocniła tylko nadzór nad ciekawymi. Inna część rewolucyonistów badała olbrzymi park carskosielski, w którym codziennie używali spaceru członkowie carskiej rodziny. Mimo całe to podejrzane postępowanie, policya ograniczała się do nadzoru i zbierania wiadomości o przyjezdnych osobach. Rewolucyoniści tymczasem, dowiedziawszy się wszystkiego, co im było potrzeba, zaczęli dopytywać się urzędników ochrany o możliwości przedostania się do właściwego parku pałacowego, zamkniętego dla publiczności i o wstęp do pałacu. Próby te — jak się zdaje — powodzenia nie miały.

Wobec niepowodzenia w tym kierunku, wzmiankowany syn telegrafisty począł starać się o przyjęcie go do nadwornego chóru. Spokrewniony jednak członek chóru, na którego poparcie liczył w tem przedsięwzięciu, kategorycznie odmówił, znając przekonania polityczne rewolucyonisty. Rewolucyoniści zwrócili więc główną uwagę na Peterhof, a zwłaszcza mały pałacyk koło Aleksandryi.

Chociaż ochranie jasnym był cel działalności podejrzanych osób, oczekiwano jednak chwili ujęcia wszystkich nici całej organizacyi. Moment ten nadszedł. Siostra miłosierdzia w szpitalu Botkińskim, Zubowa, zadała sobie w samobójczym zamiarze ciężką ranę. Chorą umieszczono w szpitalu, a dla opisania majątku zawezwano policyę. Przy tej czynności policya wykryła w jednym z pokoi kosz, wypełniony bombami, materyałami wybuchowymi, bronią i literaturą nielegalną. W innym koszu znaleziono szczegółowe plany Peterhofu, Carskiego Sioła i Gatczyny z oznaczeniem dróg, po których jeździła rodzina carska, miejsc wygodnych do rzucania bomb, domów, w których mieszkali dostojnicy i t. p. Z korespondencyi okazało się, iż Zubowa należała do organizacyi bojowej.

Oprócz Zubowej, której zdrowie się już poprawiło, uwięziono b. urzędnika ministeryum spraw wewnętrznych, należącego do rewolucyjnej organizacyi, a następnie uwięziono wszystkich innych jej członków, w liczbie 23; między nimi adwokatów Tarasowa i Cziabrowa. Dwom rewolucyonistom udało się zbiedz za granicę."

# KRONIKA.

Lwów 29 lipca.

**Z armii.** Komendant XI korpusu armii we Lwowie jenerał broni hr. Auersperg zostanie komendantem korpusu w Budapeszcie, w miejsce zaś jego do Lwowa przyjdzie feldmarszałek porucznik hr. Attems, obecnie komendant 12 dywizyi piechoty w Krakowie.

**Komendantem szkoły kadeckiej** we Lwowie został mianowany major Juliusz Wolny z 8 p. p.

**Berezowski**, który w 1867 roku wykonał w Paryżu zamach na cara Aleksandra II i został skazany na dożywotnie ciężkie roboty w Nowej Kaledonii, w 1905 r. uwolniony z ciężkich robót, jednak z obowiązkiem przebywania nadal w Kaledonii, teraz znowu został zaaresztowany pod zarzutem zamordowania jednego ze swych towarzyszy. Fakt ten rzuca na niego bardzo złe światło.

**Z Truskawca** nam donoszą, że w niedzielę dnia 11 sierpnia odbędzie się tam koncert dwóch znakomitych artystek, panny Zofii Sawickiej, artystki dramatycznej i panny Katty Sawickiej, śpiewaczki. Koncert tych dwóch wysoce utalentowanych panienek dany niedawno w Lubieniu, wywołał tam furorę.

**Wydawnictwo księgi adresowej stoł. miasta Lwowa** zwraca się do wszystkich mieszkańców stolicy z uprzejmą prośbą o łaskawe zawiadomienie go o zmianie adresów, celem bezpłatnego zamieszczenia w księdze adresowej. Rocznik XII. na rok 1908 znajduje się już w opracowaniu, a wydawnictwo pragnie uczynić Księgę wręcz niezbędną dla świata handlowego, przemysłowego i rękodzielniczego; wszelkie sprostowania, przyjmuje z wdzięcznością. Najdogodniej korespondentką do Redakcyi, Lwów, ul. Grottgera l. 3.

**Nowa fabryka.** Pan Bronisław Rozwadowski, właściciel Turówki w Skałackiem, założył pod Skałatem fabrykę dachówek i cegielnię. Fabrykę tę na taką skalę założono, że rocznie może produkować kilka milionów cegieł.

**Straszny czyn obłąkanego.** W Berlinie zdarzył się onegdaj wypadek tak straszny, iż w kronikach kryminalnych nie było dotąd podobnego, a przyrównać by go można tylko do strasznych czynów głośnego Jacka Rozprówacza w Londynie. Oto onegdaj pomiędzy godziną ¾ na 2 a ¼ na 3 w trzech nieodległych od siebie ulicach północnej części Berlina jakiś przyzwoicie odziany mężczyzna, liczący 26 lub 27 lat zamordował sztyletem troje bawiących się na ulicy dzieci, same dziewczynki w wieku 3, 4 i 5 lat. Pierwszy straszny swój czyn popełnił on na alei Prenzlaueńskiej. Przystąpił do grupki bawiących się dzieci i poprosił jedną z dziewczynek, pięcioletnią córeczkę robotnika z fabryki tytoniu Knispla, aby mu wskazała gdzie mieszka niejaki Schulze. Dziewczynka nie chciała odrywać się od zabawy, wtedy zbrodniarz dał jej kilka feników. Dziewczynka zachęcona tym podarunkiem, udała się z nieznajomym do domu, w którym mieszkają jej rodzice, a w którym także mieszka ów Schulze. Gdy tylko znaleźli się za bramą, mężczyzna pochylił się i pchnął dziecko sztyletem w brzuch. Widziała to z dziedzińca jakaś sługa i z krzykiem rzuciła się na pomoc. Tymczasem nieznajomy zbiegł. Domownicy zajęli się ratowaniem ranionego dziecka, a zbrodniarz nieścigany chwilowo przez nikogo, za parę już minut pojawił się w niebardzo stąd odległej ulicy Heinersdorfskiej. Tam przystąpił znów do grupki dzieci bawiących się pod bramą jednego z domów i zbliżywszy się do półczwarta roku liczącej dziewczynki, córeczki fryzyera Sensta, przyrzekł jej kilka feników za to, ażeby poszła z nim do bramy. Dziecko poszło. Zaraz za bramą zbrodniarz schwycił je ręką za twarzyczkę, tak żeby krzyczeć nie mogło, i przyparłszy je do muru, pchnął w podbrzusze trzy razy sztyletem, przyczem przy jednem pchnięciu tak szarpnął sztyletem, że brzuch dziecka się otworzył i wyszły wnętrzności.

Widział tę zbrodnię z daleka z dziedzińca jakiś węglarz, zanim jednak przybiegł z pomocą, zbrodniarz już zdołał zbiedz bez śladu. Za chwilę wpadł zbrodniarz do bramy domu przy ulicy Ryke'go pod l. 2 i bawiącą się tam czteroletnią dziewczynkę, córkę robotnika Prauwitza, pchnął dwukrotnie sztyletem raz w prawą, raz w lewą pierś. Potem zbiegł. Dotąd schwytać go nie zdolano, choć policya wysłała za nim w pogoń 220 urzędników i agentów i wyznaczyła 1000 marek nagrody za wskazanie choćby jego śladu. Ludność w Berlinie jest tak niesłychanie wzburzona tem zdarzeniem, że gdy wczoraj policyanci aresztowali na ulicy jakiegoś pijaka, który rozdawał dzieciom cukierki, a ktoś krzyknął z tłumu: „To pewno morderca dzieci!", tłum rzucił się na aresztowanego, chcąc go zlynczować. Dopiero użycie broni przez policyę zdołało tłum uspokoić. Najwybitniejsi psychiatrzy berlińscy są zdania, że zbrodniarz musiał nagle popaść w szał na tle przewrotnych instynktów i utrzymują stanowczo, że człowiek przytomny nie miałby dość siły do popełnienia bezpośrednio po sobie trzech tak strasznych czynów.

W godzinę po strasznym owym wypadku znalazła policya na jednej z ławek w alei Prenzlaueńskiej zapomocą złamanych nożyczek przytwierdzoną do ławki kartkę z następującym napisem: „Uciekaj, uciekaj, za pięć minut jesteś trupem. W pobliżu jest rabuś dzieci. Oddać tę kartkę policyi. Zrabowałem jedno dziecko na ulicy Belforterskiej, jedno w alei Prenzlaueńskiej i jedno na ulicy Heinersdorfskiej". Oprócz tego napisu była na kartce narysowana trupia głowa, a obok niej napis: „trucizna!"

**Dlaczego mieliśmy takie ulewy tego roku?** Jeden z niemieckich meteorologów odpowiada na to pytanie, jak następuje: W pierwszych dniach maja panowała w całej Europie bardzo wysoka temperatura, dzięki jej pooddzielały się ogromne góry lodowe od północnych brzegów Islandyi i Grenlandyi i porwane prądem, popłynęły na morze niemieckie i na Atlantyk, ku brzegom Europy, a nie Ameryki. Już w połowie czerwca nadchodziły od statków kupieckich, łowiących ryby na północy, wiadomości, że ogromne góry lodowe ciągną z północy na południe. Ku końcowi zaś czerwca wielki statek pasażerski niemieckiego Lloydu „Kronprinz Wilhelm", jadąc z Bremy do Nowego Jorku, uderzył w nocy o taką górę lodową na Atlantyku i o mały włos na dno nie poszedł. Pływające po oceanie atlantyckim te olbrzymie góry lodu w miesiącu czerwcu zużyły na swe stajanie ogromne masy ciepła, które zabierały nie tyle z wody, co z powietrza. To też tablice meteorologiczne notowały stale niską temperaturę w Anglii od czasu pojawienia się owych lodowych gór; w Szkocyi nie wznosiła się ona wyżej ponad 9° C., w Irlandyi sięgała 11°, w Anglii do 12°, we Francyi do 13°, a nawet w tak gorącej miejscowości jak

---

48)

Girolamo Rovetta.

## Mater Dolorosa

### Powieść

przełożyła z włoskiego *Karolina Dzieduszycka*.

(Ciąg dalszy).

— Przeklęta, przeklęta!... Ona ma odwagę przyjść mi powiedzieć, że się ja łudziłem!... Ja się łudziłem! — Tyś mię nęciła, pociągała i powoli w twe sieci złapała, przebiegłością, pochlebstwem i oszukaństwem! Tyś do mnie przyszła, tyś mię chciała, ty bardziej zepsuta w twojem zimnem i obojętnem dziewictwie, aniżeli ulicznice; przez ciebie zaznałem wszelkich szaleństw i wszelkich rozkoszy, a teraz masz odwagę mówić mnie, mówić mnie tutaj, żem się łudził!... Ale powiedzże mnie, czyż nie pamiętasz, jak się wkoło mnie wiłaś jak wąż?... Nie pamiętasz, w jaki sposób całowałaś mnie tego ostatniego wieczora w Santo Fiore?... Czyś naprawdę zapomniała wszystko?!... Ale patrz, patrz, czy widzisz ten pierścionek? — i mówiąc to, wskazywał pierścionek, który Lalla na palcu miała, — wszakże to ja ci go dałem, a wtedy biorąc go, obiecałaś mi, płacząc — tak, płakałaś, ty, fałszywa, obłudna, płakałaś— przysięgając, że do innego należeć nie będziesz, że tylko będziesz moją, jedynie moją!

Sandro miał słuszność. Pierścionek, który Lalla na palcu nosiła, był od niego, turkus otoczony rautami; ale ona już nie myślała wcale o tem, skąd go miała; nosiła go zawsze, bo się jej podobał, bo był bardzo ładniutki.

— Przeklęta, przeklęta! — krzyczał dalej Frascolini wśród gwałtownych łkań; a Lalla coraz to bardziej przerażona, błagała tego szaleńca, by krzyczeć przestał i nie wywoływał skandalu.

— Chcę krzyczeć! Tak!... Chcę wywołać skandal! Jesteś podłą!

— Nie krzycz tak, proszę cię, błagam! na miłość boską, mów ciszej!

— Chcę aby mię usłyszano; chcę się zemścić; chcę, żeby mię wszyscy słyszeli, a potem... potem tego drugiego zamorduję!... Średnie wieki się skończyły! Psiawiara szlachcic nie wart więcej jak każdy inny chrześcijanin!

— Zlituj się nademną!... nie zabijaj mnie, litości... trochę litości!

— Nie, nie i nie! To była zbyt wielka przewrotność. Podczas kiedy ja tam w Wenecyi zamknięty w norze, bez powietrza i bez światła poniewierałem swoje życie, ty, zadowoliwszy swój chwilowy kaprys, urągałaś mi, udając znudzoną kokietkę przed wylizanymi i uperfumowanymi paniczami, przygotowałaś twoje świetne małżeństwo!... Przeklęta! I Frascolini coraz to głośniej krzyczał, chciał wyjść, zejść na dół do tego drugiego, wypoliczkować go, zemścić się. Lalla była tak przerażoną poważnem niebezpieczeństwem, które jej groziło, że nawet nie podnosiła wszystkich tych obelg, które na nią miotał. Zaczęła gwałtownie płakać, a rzuciwszy się na kolana pomiędzy Sandrem a drzwiami, błagała go, aby się uspokoił i przebaczył jej, ściskając go za kolana, całując i oblewając łzami jego grube i szorstkie ręce. Ale on ani chciał słyszeć o litości i miłosierdziu. Trzeba było raz skończyć z temi komedyami, z tym całym jej fałszem; już nikogo dalej oszukiwać nie będzie mogła!... Wszyscy muszą się dowiedzieć jaką to ona była!... Wszyscy!...

— Aleksandrze, Aleksandrze mój, miej trochę litości, o nic innego, tylko o trochę litości proszę!

— Nie... Żadnej litości!... Chcę zejść, chcę widzieć twojego kochanka, chcę mu powiedzieć kim jesteś.

— Boże, Boże, ależ ja go nie kocham... nie mogę go kochać, przysięgam ci!

— Kłamiesz.

— Nie. To mój ojciec tego chce, nie ja, to mój ojciec!

To, czego dokazać nie mogły ani łzy, ani miny dziewczęcia, dokazały te proste słowa. Sandro uspokoił się zaraz, jakby zapomocą różczki czarodziejskiej; i zniżając głos, biorąc ją za ramię, silnie je ścisnął i zapytał, wpatrując się w nią ponuremi oczyma:

— Więc dlaczego wychodzisz za niego?

Lalla odetchnęła; zrozumiawszy, iż w końcu zwyciężyła i już się nie ma czego obawiać.

— Wychodzę za niego, bo mój ojciec tego pragnie; wychodzę za niego przecierpiawszy przez te dwa miesiące wszystko, co tylko się może na świecie wycierpieć. O! Sandro, ty nie możesz tego zrozumieć... nie znasz mego ojca!... Nie jadłam, nie wychodziłam z domu, ciągle tylko płakałam, ale mój ojciec pozostał niewzruszonym, grożąc mi, że jeżeli nie poddam się jego woli, wywiezie mnie do Belgii i zamknie na zawsze w klasztorze. Wtedy ogłupiała cierpieniem, uległam i powiedziałam sobie: Aleksander nigdy nie będzie wiedział co się dzieje w mem sercu, ale przynajmniej czasami będę go mogła jeszcze widzieć.

— A przecież powiedziano mi, że ty go kochasz i że jeszcze w Pegli kochaliście się z hrabią Della Valle.

— Ludzie to może myśleli, ale zapytaj miss Dill albo Nenę, czy to, co ci powiedziałam jest prawdą!

Sandro w tych słowach odczuwał kłamstwo, ale to kłamstwo było tak drogiem dla niego, że brakło mu odwagi, aby mu się opierać i Lallę zdemaskować. Przeciwnie, zmęczony i przybity, chwycił się tego całą duszą, jak swej ostatniej nadziei.

Nastało między nimi długie milczenie. Sandro uporczywie, ponuro patrzał na księżniczkę; był blady, ciężko oddychał.

Lalla stała wyprostowana, bawiąc się drżącymi paluszkami łańcuszkiem od zegarka, od czasu do czasu podnosiła główkę i łagodnie patrzała na niego, z lekko drgającemi wargami, z wyrazem nieuchwytnym, pełnym przywiązania i pobłażliwych wymówek, a potem znowu z nieśmiałością oczy spuszczała.

Sandro zwyciężony, drżący, zbliżył się teraz do niej.

— Więc... przysięgasz mi?... Potem będę mógł... będę mógł widywać cię jeszcze?

I znowu dziewczę spojrzało na niego czule, długo, nieśmiało i skończyło — tak — prawie niedosłyszanym, wymawiając je głosem, w którym mieściła się pieszczota.

— A więc... pamiętaj, pamiętaj, że jeżeli tym razem mię oszukujesz, to biada tobie!... biada!... Ale to biada, powtórzył odmiennym głosem; niespodziewanie porwał Lallę w objęcia i skończył drugie biada, gorącym pocałunkiem na ustach, pocałunkiem, w którym była i miłość i gniew i zazdrość i wszystkie namiętności i cała dusza biednego chłopca. Lalla byle tylko odszedł spokojnie, byle jej gwałtownością swoją nie skompromitował, słabo się tylko opierała, a wtedy zaczął ją wściekle okrywać pocałunkami, całował jakby kąsał, szyję, włosy, oczy, policzki, suknie, całował ją wszędzie. Sandro upojony i podniecony, już nie był bladym, policzki miał rozognione, w gorączkowym uścisku obejmował, jak szalony tę drżącą istotę, aż nareszcie onieśmielony, pokonany niemem spojrzeniem pełnem wymówek dziewczęcia, które było najwymowniejszem błaganiem o uszanowanie jej, a bardziej jeszcze skutecznem w swem zrezygnowanem poddaniu się, przycisnął ją raz jeszcze do piersi tak silnie, że aż boleśnie, raz jeszcze długo, zaciekle pocałował ją w usta, a przezwyciężywszy pokusę, która nim miotała, odepchnął daleko od siebie tę wątłą istotę, która była nieszczęściem dla niego, wyszedł szybko z pokoju, jednym skokiem znalazł się na dole, wybiegł z pałacu d'Eleda i jak najprędzej opuścił Borghignano.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Biarritz nie wznosiła się po nad 15°. Owóż to nagłe oziębienie powietrza w całej zachodniej Europie pociągnęło za sobą wydzielenie się z niego masy wilgoci w niem zawartej, wiadomo bowiem, iż powietrze im jest cieplejsze, tem więcej pary wodnej jest w stanie udźwignąć im zaś zimniejsze, tem mniej. Oziębione przez tajanie gór lodowych, wydzieliło z siebie całą masę posiadanej wilgoci i wywołało te ulewy, które tak strasznie dały się nam we znaki w lipcu. Mniemanie, że zbliżenie się Marsa do Ziemi było powodem tych deszczów, jest niedorzecznością, bo przecież ziemia, obracając się w około swej osi, przez dwanaście godzin poddaje Europę działaniu Marsa, a przez drugie dwanaście Amerykę, tymczasem w Europie było zimno i lały deszcze, a w Ameryce panowały upały i posucha.

**W Truskawcu** bawiło do 16 lipca 2068 osób.

**Koncerty** „*T. and T.*“ (wymawiać należy „*ti end ti*“). Najnowszym i najmodniejszym rodzajem zabawy angielskiej arystokracyi nie są teraz fajfy, ale koncerty „*T. and T.*“, odbywające się w południe od dwunastej do drugiej (*from twelve to two o'clock*). Są one częścią t. z. naturalnego życia, czyli życia według zasad hygieny, odbywają się więc, jeśli tylko pogoda na to pozwala, w ogrodzie, ponieważ świeże powietrze jest potrzebne dla zdrowia. Naturalnie wymyślono już specyalny rodzaj zaproszeń na te koncerty. Zaproszenia muszą być bardzo skromne, na kremowym papierze, w prawym rogu, u dołu, są odrysowane dwa zegarkowe cyferblaty, z których jeden wskazuje dwunastą, a drugi drugą godzinę. Cyferblaty te połączone są wstęgą z nut, tworzących jeden lub dwa takty, którego znanego i popularnego utworu. Goście są proszeni, by byli w ubraniach spacerowych, co w tym roku oznacza dla pań płótno lub zefir, a dla panów *lawn-tennis*. Klasycznej muzyki nie grywa się na tych koncertach „*T. and T.*“, także mało bardzo nowoczesnej, słyszy się tylko stare angielskie pieśni, ludowe tańce i wyjątki z operetek. O drugiej godzinie podaje się gościom *lunch*, także w ogrodzie, do czego też musi być zastosowane *menu* tej przekąski. Niedawno wywołał w Londynie wielki zachwyt taki koncert „*T. and T.*“, na którym dano operę komiczną w stylu Ludwika XV z pasterzami, na scenie zbudowanej w ogrodzie i ubranej kwiatami; kurtyna była z białego płótna, malowana w kwiaty. Widzowie siedzieli na zwykłych ogrodowych krzesłach, a podczas antraktu podano śniadanie, złożone tylko z owoców.

**Jan Dybowski.** Z Paryża piszą, że najpopularniejszem dziś nad Sekwaną nazwiskiem jest Jana Dybowskiego. Jest on synem emigranta polskiego, a stąd jest bohaterem dnia dla tego, że za jego staraniem powstała w lasku Vincennes wystawa przemysłu kolonialnego, która roztoczyła pod murami Paryża w rozmaitych szczegółach żywe zupełnie obrazy Azyi i Afryki.

Wchodzimy na tę wystawę i nagle okazuje się, że jesteśmy w jakiejś osadzie malajskiej. Kilkadziesiąt kroków dalej — mamy wieś Kanaków, potem znów szczery fragment Tunisu, z tonącymi wśród zielonych palm białymi murami. Każdy budynek, daną kolonię reprezentujący, otacza właściwa roślinność, zachowane jest zdobnictwo odnośnego ludu. Słowem — dekoracye wystawy nie pozostawiają nic do życzenia.

Oczywiście, spotykamy też na każdym kroku przedstawicieli tubylców kolonialnych, którzy nie przestają prowadzić własnego trybu życia i popisywać się specyalnym swoim przemysłem. Oto, przeniesiona z Sudanu ferma rolnicza, a rodzina Sudańczyków krząta się około zajęć codziennych; gdzieindziej grupa dahomejczyków przenosi wyobraźnię naszą do dalekich, egzotycznych krajów i budzi wspomnienia awanturniczych powieści, które tak rozpalały kiedyś fantazyę dziecięcą.

Wysoki, zręcznie zbudowany, o twarzy szczerej, sympatycznej, p. Jan Dybowski robi, już na pierwszy rzut oka, wrażenie człowieka nieustraszonego, a przytem rzeczywistego pioniera cywilizacyi. Spędził on długi szereg lat w Afryce, badając Saharę i francuskie Kongo. Udał się tam mniej więcej dziesięć lat temu, jako towarzysz Crampela, którego miał odnaleść na południowych kresach Algieru. Ekspedycya wyruszyła z Brazzaville i zapuściła się w głąb nieznanego zupełnie kraju, gdzie jedynemi drogami były koryta rzek i strumieni. W jednej z osad naczelnik plemienia zwrócił się do Dybowskiego z ostrzeżeniem:

— Nie idź dalej. Tu już szedł jeden oddział, komendant mnie nie posłuchał, zabito go. Ciebie też zabiją.

Tym komendantem był właśnie Crampel, z którym Dybowski miał się połączyć. Nasz rodak również nie posłuchał starca. „Odsunąłem go i udaliśmy się w dalszą drogę“ — opowiada z prostotą w pamiętnikach swych dzielny podróżnik. Gdy dotarł do wsi, w której zamordowano Crampela, kazał oddziałowi dać ognia. Zabójcy pierzchli w nieładzie, pozostawiając tylko jedno dziecko.

„Wziąłem je na wychowanie“ — pisze ten surowy napozór i nieugięty człowiek.

Następnie przeszedł Dybowski Jabandę i Bled-el-Huti, a przerznąwszy stepy, pustoszone przez Arabów, po długich wędrówkach i niezliczonych przygodach, zebrawszy mnóstwo materyału naukowego i olbrzymie muzeum pamiątek, szczęśliwie dotarł do kolonij francuskich.

Wśród publiczności, zwiedzającej tę wystawę w *Vincennes*, zwaną „*Jardin-colonial*“ Dybowskiego, największą popularnością cieszą się groźni tuaregowie, których dzikie twarze budzą mimowolny przestrach. Mimo to nie brak amatorów zawierania z nimi bliższej znajomości — boć to w każdym razie nowość, a Paryżanin bez nowości i sensacyi obyć się nie może. Któregoś dnia zjawia się w kancelaryi wystawy jakiś dobroduszny obywatel Paryża i prosi, by mu pożyczono kilku Tuaregów.

— Po co?

— Na wesele. Żeby goście mieli rozrywkę.

Odmówiono, rozumie się, pomysłowemu Paryżaninowi, jakkolwiek czyni się tu dziś wszystko możliwe, by zachęcać ludzi do zawierania małżeństw, ułatwiania ślubów i uprzyjemniania wesel, a to z powodu, że Francya stale się wyludnia. Dzieci wogóle rodzi się we Francyi coraz mniej, a w tem — procent legalnych zastraszająco maleje.

No, bo też przyznać trzeba, że dotychczasowe prawo małżeńskie, jeden z poronionych tworów wielkiego Napoleona, nie zachęca bynajmniej do zawierania związków małżeńskich. Dość powiedzieć, że dotąd tkwiły w nim takie anachronizmy, jak żądanie od 30-letniego mężczyzny pozwolenia rodzicielskiego. Pozatem ślub można było brać tylko w miejscu zamieszkania jednego z nowożeńców i to z warunkiem półrocznego przebywania w danej miejscowości. Dla ruchomej ludności robotniczej przepis ten był wielce uciążliwy i często uniemożliwiał legalne małżeństwo. Obecnie parlament francuski zdecydował się nareszcie wprowadzić do rzeczonego prawa pewne — drobne zresztą — zmiany natury formalnej. Zmiany, które teraz uchwalono, odnoszą się głównie do zapowiedzi i do zezwolenia ze strony rodziców. Nowa ustawa wymaga zamieszkiwania w okręgu, gdzie ma być ślub brany, tylko przez miesiąc. Co się tyczy akceptacyi rodziców, to pozostał przepis, obowiązujący parę młodą aż do 30 roku życia, by prosiła rodziców o pozwolenie; jest to wszakże już tylko forma, *acte respectueux*, gdyż mimo odmowy małżeństwo może być zawarte.

**W Jasnej Polanie.** Rozszerzona przed kilkunastu dniami przez pisma berlińskie pogłoska o zgonie hr. Lwa Tołstoja, okazała się — jak wiadomo — zupełnie bezpodstawną. Przeciwnie, wedle ostatnich wiadomości, jakie nadeszły z Jasnej Polany, stan zdrowia sędziwego pisarza nie daje żadnych powodów do obaw. Tołstoj, jak zawsze, robi codziennie długie wycieczki piechotą na odległość siedmiu do dziesięciu kilometrów, albo też udaje się do stawu, oddalonego o trzy kilometry, aby się kąpać; pływa, jeździ konno, gra z ochotą w tennisa. Starzec, który niebawem obchodzić będzie ośmdziesiątą rocznicę urodzin, pędzi życie jak młody człowiek. Także zewnętrzny wygląd pisarza nie wiele się zmienił. — Tylko po chodzie można poznać jego wiek sędziwy. Natomiast oczy są jeszcze bardziej jasne i błyszczące, nabrały wyrazu łagodności, która sprawia, że twarz, dawniej nieco surowa, obecnie promienieje dobrocią.

Jeden ze starych przyjaciół Tołstoja, który dopiero co powrócił z Jasnej Polany, opowiada w pismach rosyjskich, że w ostatnim czasie odwiedzało posiadłość Tołstoja bardzo wielu gości. Niedawno bawiła tam w gościnie rodzina Czertkowów, ściśle zaprzyjaźniona z Tołstojem, malarz Niesterow, siostra znanego posła do dumy Maklakowa i wiele innych osób. Niesterow przybył do Jasnej Polany aby wymalować portret sędziwego pisarza, a portret ten jest podobno znakomity i pod względem subtelności oddania duchowego wyrazu przewyższać ma wszystkie dotąd istniejące portrety Tołstoja.

Po przybyciu panny Maklakownej zaczęto odbywać w Jasnej Polanie częste wieczorki muzyczne, panna Maklakow bowiem jest dobrą śpiewaczką. Ponieważ nie było akompaniatora, sam Tołstoj zasiadał do fortepianu. Artyska śpiewała pieśni Szuberta, zarówno ona, jak Tołstoj zbierali serdeczne huczne oklaski słuchaczy. Tołstojowi owacye te sprawiały wielką przyjemność.

Na wieczorach muzycznych zbierały się także w domu sędziwego pisarza dzieci chłopskie, „uniwersytet jasno-polański“, jak ich nazywa Tołstoj. Tołstoj nie naucza tych dzieci, lecz sam — jak twierdzi — uczy się bardzo wiele od swych małych, bosych profesorów. Poświęcając znaczną część dnia na wymianę zdań i rozmowy listowne z niezliczonym zastępem dorosłych ludzi, korzysta z każdej wolnej chwili, aby zająć się dziećmi. Opracowuje dla nich „Czytanki“, zawierające legendy, opowiadania historyczne, życiorysy i maksymy wielkich ludzi i ustępy z biblii. Obrobienie tego materyału zajmuje sędziwemu pisarzowi niejeden dzień. Każdy temat bada troskliwie, zastanawia się nad jego pedagogiczną wartością, stara się dostosować go do zdolności pojmowania dziecięcego umysłu. Ponieważ jednak — jak mówi — nie dowierza własnemu instynktowi, więc wszystko, co napisze, przedstawia „uniwersytetowi“ do oceny; jeżeli zauważy na twarzach dzieci brak zrozumienia, w takim razie przerabia zupełnie gotowe już opowiadanie, jeżeli jakaś historya nie budzi zajęcia młodych krytyków, wrzuca ją bez wahania do kosza. Mały „uniwersytet“ ma zupełną autonomię i swobodę postępowania; praca jego trwa tylko pół godziny; Tołstoj sądzi bowiem, że krytyczne zdolności jego literackich sędziów zaczynają słabnąć po upływie tego czasu. Posiedzenia odbywają się w zamkniętem kole i nikt obcy nie bywa do nich dopuszczany. Raz tylko uczynił Tołstoj wyjątek, wprowadzając na posiedzenie Niesterowa. Skutek był ten, że „uniwersytet“ zajmował się raczej gościem, niż przedłożonemi mu do oceny pracami. Wobec tego goście zostali raz na zawsze wykluczeni z posiedzeń. Tołstoj jest zachwycony zdrowym rozsądkiem dzieci i nieraz woła z entuzyazmem:

— Co za umysły! Ileż można się od nich nauczyć?

Często też nazywa dzieci „kwiatami Bożymi“. Przed kilku dniami przybył w odwiedziny do Jasnej Polany ogromny „bukiet Bożych kwiatów“. W kilku wagonach kolejowych przyjechało kilkaset dzieci, uczniów i uczenic szkół ludowych, t. zw. szkół ziemskich. Przybysze w towarzystwie nauczycieli pociągnęli w ordynku do posiadłości Tołstoja, a gospodarz przyjął ich tak serdecznie, że mali goście czuli się niebawem jak u siebie w domu. Tańczyli, śpiewali pieśni, poszli się kąpać do stawu, otaczali sędziwego pisarza jak rój pszczół. Pośród tłumu jasnych i ciemnych główek dziecięcych, zaledwie można było dostrzedz jasny kapelusz Tołstoja. Gdy nagle nadciągnęła burza i zaczął padać gęsty grad, dzieci uciekły z ogrodu do pałacyku, napełniając go wrzawą, śmiechem i radością. Wieczorem armia dziecięca wyruszyła w powrotną drogę i przedefilowała przed gościnnym gospodarzem, żegnając go serdecznymi okrzykami.

**Warszawa**, według ostatnich wykazów statystycznych, przeprowadzonych z powodu potrzeby przygotowania list wyborczych, liczy 764.000 mieszkańców. W tej liczbie: 446.000 katolików, 265 tysięcy izraelitów, 33 tysięcy prawosławnych, a 19.000 protestantów.

**Środek na zdanie matury.** Pisma rosyjskie opowiadają o oryginalnym środku ułatwienia sobie egzaminu dojrzałości, wynalezionym przez abituryentów realnego gimnazyum w Baku. Oto, każdy z tych młodzieńców podczas egzaminu położył obok siebie na stole rewolwer. Profesorowie nie odważyli się wobec tego zbyt uprzykrzać się swoim uczniom i cofnęli się ostrożnie w najdalszy kąt sali egzaminacyjnej. Teraz nic już nie stało na przeszkodzie wzajemnemu odpisywaniu zadań i egzamin wypadł zadowalająco.

**Temperatura** dnia 26 lipca o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +15, we Lwowie +12, w Tarnopolu +15, w Czerniowcach +12, w Wiedniu +16, w Salcburgu +17, w Gracu +17, w Pradze +13, w Tryeście +23, w Abbazyi +20, w Raguzie +24, w Budapeszcie +17, w Berlinie +17, w Hamburgu +13, w Monachium +17, w Zurychu +15, w Genewie +15, w Lugano +19, w Anglii +13, w Paryżu +17, w Biarritz +18, w Nizzy +27, w północnych Włoszech +19, we Florencyi +21, w Rzymie +22, w Neapolu +22, w Palermo +25, w Madrycie +21, w Sztokholmie +13, w Petersburgu +14, w Wilnie +12, w Warszawie +12, w Moskwie +16, w Kijowie +13, w Odessie +20, w Serajewie +17, w Belgradzie +22, w Bukareszcie +22, w Sofii +19, w Konstantynopolu +25, w Atenach +28. (Temperatura według Celsiusza).

**Stan powietrza.** T. o godz. 7 rano +15 R. w poł. +19 R. Bar. 768. Nieruchomy. Pochmurno.

**Dowcip chłopski.**

— Marcinie! a co wy tam przykładacie ucho do brzucha tej krowie?

— Panu ekonomowi zginął zegarek na tem pastwisku — to teraz słuchamy, czy go czasem krowa nie połknęła.



## Widowiska i koncerty.

**Colosseum** Hermanów. Od 16 do 31 lipca. Wspaniały program nowości! *Edward Garrick*, mistyczne metamorfozy; *Almasio Trio*, akt sportowy; *10 dni w kozie*, farsa; *Rainbow*, ekwilibrystyka w morzu efektów świetlanych. *Vitograph*. W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godzinie 4-tej i 8-mej.

## Literatura i sztuka.

* **Das Oesterreichische Abgeordnetenhaus**, 1907. Wiener Vorlag. Verlagsbuchhandlung, Teichlauben 21. Wien I.

Książka ta wydana teraz właśnie i ułożona przez Fritza Freunda, zawierająca fotografie i życiorysy wszystkich posłów do Rady państwa, przyda się każdemu zajmującemu się sprawami politycznemi. Jest ona sumiennie ułożona i bardzo szczegółowo. Kto chce poznać życiorysy posłów i mieć przed oczami twarze posłów przemawiających w Radzie państwa, znajdzie w tej książce to, czego pragnie. Książka ta zawiera także kartograficzne przedstawienie rozmaitych stronnictw, plan miejsc w sali obrad, statystykę wyborów, liczbę głosów według narodowości, statystykę wieku, zajęcia i religię posłów i nową ustawę wyborczą.

Wydana jest starannie, fotografie są doskonałe, a kosztuje tylko jedną koronę. Każdemu, kto się zajmuje sprawami politycznemi, książka ta się przyda niezawodnie.

## Część ekonomiczna.

**Wiedeń** 27 lipca.

(Z). Po dość długim okresie stagnacyi nastało dziś ożywienie na giełdzie. Rozmiary dokonanych transakcyi spekulacyjnych były dosyć znaczne, a kursa podniosły się. Wpłynęła na to oprócz korzystych doniesień z targów zagranicznych także ta okoliczność, iż likwidacya rachunków ultimowych odbywa się gładko.

Z walorów przemysłowych najbardziej faworyzowane były alpiny i uzyskały zwyżkę 7 koronową. Podniosły się też prawie wszystkie akcye kolejowe.

Austryacki Zakład kredytowy osiągnął za spieniężenie 10.000 sztuk akcyi fabryki Skody w Pilznie zysk w sumie 600.000 koron, który uwidoczniony zostanie w bilansie półrocznym.

W sądzie tutejszym handlowym odbył się tymi dniami termin, celem zakończenia likwidacyi austryackich interesów Belgijsko-austryackiego towarzystwa naftowego, założonego przed laty jedenastu w Brukseli. Posiadało ono tereny naftowe w Galicyi i reflektowało swego czasu na nabycie kopalń galic. Kasy oszczędności. Ostatecznie zbankrutowało kompletnie do tego stopnia, że pasywa jego wynoszą 15 milionów franków, a aktywa zaledwie 150.000 koron i nie wystarczą nawet na zapłacenie kosztów adwokackich. Akcyonaryusze belgijscy, którzy dostarczyli byli swego czasu w gotówce kapitału akcyjnego 6 milionów franków, nie dostaną ani grosza.

## TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

*(Depesze poranne).*

**Zakopane.** 80 zakordonowych lekarzy, którzy brali udział w lwowskim Zjeździe, zwiedziło wczoraj Zakopane. Oglądali miejscowość, zakłady, pensyonaty, muzeum im. Chałubińskiego i nowe urządzenie wodociągowe. Następnie dłużej zatrzymali się w sanatoryum dla chorych piersiowo, oprowadzani przez d-ra Dłuskiego i jego asystentów. Po zwiedzeniu Zakładu państwo Dłuscy podejmowali gości obiadem. Lekarze wyrazili gorące uznanie d-rowi Dłuskiemu, jako twórcy sanatoryum, i wysłali depesze do Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego, Ad. hr. Krasińskiego i Konstantego hr. Potockiego z wyrazami wdzięczności za ich materyalną pomoc w doprowadzeniu do skutku tego pożytecznego zakładu.

Wieczorem lekarze zakopańscy podejmowali gości w hotelu Stamary. Sędziwy profesor Ignacy Baranowski w czasie wieczerzy oddał hołd pamięci twórcy Zakopanego, jako miejscowości leczniczej śp. d-ra Tytusa Chałubińskiego.

Dziś goście urządzają wycieczkę do Morskiego Oka, gdzie przyjmie ich Towarzystwo tatrzańskie.

**Budapeszt.** Wśród wpływowych (?) kół węgierskich i Polaków, bawiących w Budapeszcie, postanowiono przystąpić do zawiązania węgiersko-polskiego związku ekonomicznego celem wzajemnego zapewnienia węgierskim i polskim producentom i konsumentom utrzymywania stosunków handlowych, a dla węgierskiego i polskiego przemysłu i rolnictwa wzajemnego zbytu produkcyi. Do tego związku wciągnięci być mają nietylko Polacy z Galicyi, ale też z Królestwa Polskiego i z Poznania. Dziś (w niedzielę) w Budapeszcie odbyć się ma konferencya inicyatorów Związku, celem ułożenia statutów i przeprowadzenia organizacyi. (Taki telegram nadesłało nam urzędowe Biuro korespondencyjne. Z tego też powodu podajemy go, ale nie możemy się powstrzymać od wzruszenia ramion i wyrażenia zdziwienia, że podobne zabawne depesze mogą być rozsyłane po Europie przez poważne urzędowe instytucye. *Przyp. Red. Przeglądu.*)

**Budapeszt.** *Budapesti Hirlap* wywodzi, iż chwilowe odroczenie rokowań ugodowych bynajmniej nie może być uważane za złą przepowiednię dla losów ugody. Rokujące strony poprostu uważają chwilę obecną za niekorzystną i odłożyły decyzyę na później, prawdopobnie na koniec lata. Dziennik budapeszteński notuje przytem wiadomość, że rząd austryacki stanowczo naciska na podwyższenie kwoty węgierskiej, uważając zdobycze na tem polu jako *salvus conductus*, który utoruje ugodzie drogę wśród stronnictw parlamentarnych. Stąd *Budapesti Hirlap* wyciąga wniosek, że po stronie austryackiej pod wieloma względami decydującem być może stanowisko czysto polityczne. Dlatego — jak sądzi ten dziennik — zgodził się bar. Beck usunąć na razie sprawę kwoty z pod obrad, gdyż w sprawie tej jeszcze stanowisko stronnictw austryackich się nie skrystalizowało ostatecznie, a przytem prawdopodobna rekonstrukcya gabinetu bar. Becka odmieni bardzo znacznie stanowisko jego gabinetu wobec stronnictw politycznych. Do tego wszystkiego musi rząd austryacki przedewszystkiem zyskać na czasie; tedy dziwić się nie można, iż pewna zwłoka decyzyi co do ugody jest mu potrzebną. Z tych samych powodów — zdaniem dziennika budapeszteńskiego — nie wciągnięto na ostatniem posiedzeniu do obrad merytorycznych sprawy banku. I w tej sprawie przedewszystkiem jeszcze nie „wygładziły się fale agitacyi“. Dlatego pozostawiono jeszcze dotąd nierozstrzygniętą kwestyę, czy odnowienie przywileju bankowego i podejmowanie wypłat w gotówce ma wejść w ramy ugody, czy też nie.

**Ischl.** Wczoraj przybyli tu prezydenci gabinetu: bar. Beck i dr. Wekerle. Cesarz przyjął bar. Becka o godz. 11 przedpołudniem na audyencyi, która trwała do godz. 1. Następnie obaj prezydenci gabinetów byli u Cesarza na śniadaniu familijnem. O godz. 4 popołudniu bar. Beck odjechał do Wiednia. Dr. Wekerle będzie dziś przyjęty przez Cesarza na audyencyi.

**Soeul.** W całym kraju wzdłuż linii kolejowych poustawiano straże. Po mieście krążą liczne patrole. Wśród żołnierzy koreańskich ponownie wybuchły zaburzenia. Atakowano urzędników policyjnych, zniszczono 7 domów japońskich, przyczem poraniono 6 Japończyków. Margrabia Ito zamierza rozwiązać armię koreańską i zastąpić ją taką samą liczbą żołnierzy japońskich.

*(Depesze popołudniowe).*

**Kraków.** Wczoraj nad ranem wywiązała się na plantach przed restauracyą Drobnera z powodu przeciwnych zapatrywań politycznych krwawa bójka pomiędzy pomocnikami plantowymi Janem Matysikiem i Grzywą a socyalistami: robotnikami stolarskimi Franciszkiem Kozłowskim z Czarnej Wsi i Stanisławem Adamczowskim. Kozłowski pchnięty nożem w płuca, padł zalewając się krwią, Adamczowski skaleczony został w łopatkę.

**Praga.** Zapowiedziane wydalenie pomocników rękawiczniczych przeprowadzono dziś.

**Saint-Dié** (depart. Wogezów). Wczoraj przyszło w Raon-l'Etape (nieopodal granicy alzackiej) do poważnych awantur. 1.100 strejkujących szewców chciało urządzić demonstracyę razem z robotnikami innych fabryk. Gdy agenci policyjni chcieli temu przeszkodzić, przyszło do bójki, przyczem kapitana żandarmeryi dość ciężko zraniono. Kilku konnych żandarmów zrzucono z koni. Żandarmi dobyli broni, demonstranci urządzili barykady. Żandarmerya telegrafowała o posiłki.

Jak dziś donoszą, przy wczorajszych rozruchach poważnie zraniono 7 żołnierzy i dwóch oficerów. Strejkujący strzelali do żandarmów z rewolwerów, żandarmi odpowiedzieli ogniem, przyczem jednego robotnika zabili, a jednego ciężko zranili.

**Perpignan.** W czasie rozruchów w południowej Francyi wysłano z północy pułk 53 piechoty do Perpignan. Potem postanowiono, aby on tam trwale pozostał. Komendanta pułku Jollan, który za pośrednictwem kilku członków parlamentu starał się o cofnięcie tego zarządzenia, ukarano 30-dniowym aresztem. Wobec tego zapanowało wśród żołnierzy wielkie niezadowolenie. Około 300 żołnierzy wczoraj wieczorem zgromadziło się na podwórzu koszar i oświadczyło, że domagają się aby ich ponownie przeniesiono do północnej Francyi. Następnie trębacze dali sygnał alarmowy, poczem w kilka minut wszyscy żołnierze w pełnem uzbrojeniu byli gotowi do wymarszu z koszar. Oficerowie, których o tem zawiadomiono, przeszkodzili zamiarowi i udało im się uspokoić żołnierzy i skłonić ich do powrotu do koszar.

**Belfast.** Wczoraj popołudniu przyszło do ponownych rozruchów. Policya wystąpiła z bronią w ręku. Kilka osób zraniono, dwie aresztowano.

**Lyon.** Policya aresztowała dwóch antymilitarzystów, którzy wznosili okrzyki na cześć 17 p. p., który się był zbuntował i którzy podpisali manifest antymilitarny.

**Paryż.** Przy odbytych wczoraj wyborach do rad jeneralnych republikanie zdobyli o 40 miejsc więcej niż posiadali.

**Grodno.** Do zarządu policyjnego w Krużanach przybyła jakaś kobieta z prośbą o aresztowanie jej. Oświadczyła, że należała do organizacyi bojowej i zobowiązała się zabić sędziego śledczego, ale strzelając chybiła. Dręczona wyrzutami sumienia, oddała się teraz w ręce sprawiedliwości.

**Petersburg.** Rada ministrów zatwierdziła wniosek magistratu warszawskiego w sprawie oddania zakładów dobroczynności w Warszawie pod zarząd magistratu.

**Płock.** Grono osób krząta się tu około założenia polskiej 7-klasowej szkoły realnej.

**Kowno.** W Słobodzie Wiliampolskiej wykryła policya mieszkanie konspiratorów, należących do bandytów kowieńskich. Przywódzcę ujęto. Utrzymywał on stosunki z grupą anarchistów komunistów.

### HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 29 lipca. B. Cieński z Łoszniowa. K. Wysocki z Ostobuża. P. Sokołowski i S. Załęski z Król. Polskiego. Dr. S. Haczewski z Kołomyi. X. J. Zieger z M.Szigetu. M. Asłan z Rojatyna. J. Wołkowicki z Strzyżowa. Dr. J. Muczkowski z Krakowa. J. Niedziałkowski i S. Hejbowicz z Kijowa. Wł. Zieliński z Iwanczan. R. Kamieńska z Wołynia. H. Miczek z Wiednia.

### HOTEL FRANCUSKI.

Przyjechali dnia 29 lipca. I. Neutwig z Odessy, A. Badorycz z Gródka, A. Oraczewski ze Słucka, S. Fruchter, J. Zambra ze Złoczowa, J. Kunst z Wiednia, S. Kulesza z Rosyi, Z. Popiel z Horodynki, E. Kohmann z Brzeżan, F. Sieber Wiednia, S. Krzemieniewski z Krakowa, A. Wesołowski z Nowodworza, S. Stachiewicz z Tarnowa.

### NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.



**Budapeszt** 29 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na październik 11·17—11·17; żyto na październik 8·78—8·79; owies na październik 7·96—7·97; kukurudza na lipiec —·— —·—, na sierpień 6·46—6·47, na maj 1908 6·43—6·44. Rzepak na sierpień 17·85—17·95. — Oferty: mierne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: spokojne, — Pogoda: ciepło.

**Giełda południowa** (godzina 12 minut 30, Wiedeń 29 lipca

Marki 117.57, renta majowa 96 85, węgierska renta koronowa 92·45, akcye: austr. zakł. kredyt. 647·75, węg. zakł. kred. 784 00, anglobanku 304·00 unionbanku 539 00, bankvereinu 533·50, länderbanku 432.00, kolei państw. 655·00, lombardy 147.25, akcye kolei Elbethal 000.00, fabryki broni 000.00, tytoniowe 000 00, alpiny 593 00, Rima Muranyi 541 00. prag. T. żel. 2595, losy tureckie 183 75, ruble 252.5/8) Usposobienie: spokojne.

5% renta rosyjska 1906 r. 83·25.

**Warszawa.** Listy zastawne 4½% Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem 87.50, 4% listy 79.50. Listy zastawne 5% m. Warszawy 87.15, takież 4½% — 82.20.

**Lwów** 29 lipca. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

**Akcye** za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.— Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 557 — do 563 —. Banku hipotecznego po 400 kor. 568 00 do 576 00 Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 400·—410.—.

**Listy zastawne** za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem 110 50 do 111 20 4 i pół proc. los. w 50 lat 099 20 do 099 90, 4 proc. los. w 60 lat 94·90. do 95 60. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 099·70 do 100 40. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 95 10 do 95 80.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 00 00, 4 proc. los w 41 i pół latach 97 00 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 95 30 do 96 70.

**Obligi** za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 96 80—97·50. Bukowińskiego fund propin. 5 proc. 101 00 do 101·70. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 099 70 do 100 40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 93 50 do 94·20. Pożyczki kraj. z r 1873 proc. —.— do —.— 4 pr c. z 1893 r. 93 50—94.20, miasta Lwowa 4 proc. 93.20 do 93 90, 4% bez podatku (konwers.) 96 00 - 96.70,

**Monety.** Dukat cesarski 11·30 do 11·43. Napoleondor 19 10 do 19 30. 100 ruble rosyjskie papierowe 250 00 ko 252 00. 100 marek niemieckich 117 60 do 118 10.

## Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

### Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5 40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10 05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10 50*.
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

### Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15* **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.30, 10.45, **2.17**, 7 00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.03, **2.32**, 7.24* 11 35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: **11.30***.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6 30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4 05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.26, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

### Pociągi lokalne:

**Do Lwowa:**

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 8·25, 5·30 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10·05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·35 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9 25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10·10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9·40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

**Ze Lwowa:**

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 2·28, 3·45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12·41 popołudniu; (od 1/6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9·05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8 81 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie), 9 15 przedpołud. i 3·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2·10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta).

**Uwaga.** Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

9)

JERZY OHNET.

# Między sztuką a bogactwem.

(Ciąg dalszy).

— Życie jednak ma konieczne do zaspokojenia potrzeby; dostawcy zadawalają się jedynie brzęczącą monetą — dowodził Derstal w rozdrażnieniu. Nie żyjemy w empirejskiem niebie. Teorye Lavirona piękne bardzo, ale zastosować się dadzą tylko w krainie Muz i Apollina, w Elizeum, gdzie nie istnieją potrzeby materyalne. Rzeczywistość inaczej wygląda. Musimy jeść, płacić za konsumowane przedmioty i nie należy przyczyniać sobie utrudniających wszelką pracę kłopotów, wchodząc w zatargi z wierzycielami.

— Mam pieniądze, jeśli ci ich potrzeba.

Słowa te, wypowiedziane ze szczerem uczuciem, wywołały chmurę na czole Derstala. Pochylił głowę i odpowiedział z chłodem, dotykającym boleśnie młodą artystkę:

— Dziękuję ci za twoje dobre chęci, ale korzystaćbym z nich nie mógł. Zastanowiwszy się, przyznasz, że serce zagłuszyło w tobie głos rozsądku, że nie powinienem i nie chcę przyjąć od ciebie podobnej usługi.

— Odemnie? Jakto? nawet odemnie? — zawołała Ewa głosem drżącym. — Czyż to, co moje, nie jest twojem? czy tak rozróżniasz własność naszą? Alboż nie obowiązują mnie zaciągnięte przez ciebie długi? wszak one są następstwem wspólnego naszego pożycia. Doświadczywszy oboje nędzy, czyż możemy rozdzielać w taki sposób nasz dobrobyt obecny? To, co ci ofiaruję, tobie zawdzięczam...

— Nie — zaprzeczał z wymuszonym uśmiechem Oliwier. — Drażliwość moja osobista nie mogłaby pogodzić się z twymi argumentami. Rozrzewniają mnie one, ale nie przekonywują. Jest kodeks moralny, wyższy nad wszelkie uczucia, a wzbraniający mężczyźnie przyjmowania usług pieniężnych od kobiety.

— Od kobiety! — przerwała Ewa. — Uważasz mnie tylko za pospolitą kobietę! Ah! sądziłam, że jestem więcej kochaną i wyżej cenioną!

Przerwali przykrą rozmowę, Ewa jednak powątpiewać zaczęła o szczerości przywiązania Derstala. Coś w zachowaniu i w słowach Oliwiera dotknęło ją boleśnie; muzyk nie był złączonym z artystką węzłem stałego uczucia, skoro przypuszczał, że w danej chwili musi się z nią rachować. Jej przywiązanie do Derstala mimo to nie osłabło. Wielbiła go tak gorąco, że nie zrażały młodej dziewczyny wady kochanka, ogarniał ją tylko smutek i niepokój. Ukrywała te uczucia, rozumiejąc, że okazywana nieufność mogła odstręczyć od niej kompozytora.

Z końcem wakacyj i mającymi się rozpocząć występami Ewy na scenie, powrócili każde do swego mieszkania w Paryżu; minęły w ten sposób przyjemne chwile wspólnego pożycia.

W Operze czekała Ewę mozolna praca; podczas ostatniego sezonu cieszyła się tak wielkiem powodzeniem, że dyrektor przeznaczył jej główne role repertuaru. Sezon miał się zacząć od „Erinu", ale mówiono w dziennikach o spodziewanem wystąpieniu artystki w nowem dziele, a lubo nie cytowano ani tytułu owego dzieła, ani nazwiska jego twórcy, łatwo było się domyślić, że mowa była o „Wenecyance" Derstala.

Pogłoski te sprawiały przykrość Ewie; bała się, iżby nie drażniły Oliwiera i nie przyczyniały się do ochłodzenia wzajemnego ich stosunku. Derstal czytał wzmianki, czynione w prasie, nie robił jednak żadnych do nich aluzyj. Zachowywał uparte milczenie, podobnie, jak to czyniła Ewa wobec dyrektora i swoich znajomych. Laviron ze zwykłą sobie szorstkością rozstrzygnął wątpliwość.

— Słyszę, moja droga — rzekł raz wieczorem do Ewy — że podjęłaś się wystąpić w operze „Imperia" sławnego siniora Vespucci.

— Kto panu to powiedział? — pytała Ewa zarumieniona, głosem drżącym.

— Wieść ta obiega wszędzie.

— Ja o niej słyszę raz pierwszy.

— Nie gniewaj się; nic w tem przecież nie ma obraźliwego dla ciebie. Wiesz, że Ettore Vespucci jest jednym z najznakomitszych kompozytorów, jakimi szczycą się Włochy. Muzyka jego nie gorsza od innych w tym rodzaju produkcyj, tworzonych z drugiej strony Alp, to krzykliwa wrzawa trąb i rogów, ale Europa lubuje się obecnie w takiem hałaśliwem bum! bum! Nasza narodowa akademia muzyczna, której specyalnością jest wystawianie dzieł obcych, częstuje nas podobnym specymenem sztuki. Jeśli nie wiedziałaś, że dostąpisz zaszczytu ukazania się w głównej roli „Imperii", ja pierwszy o tem cię powiadamiam.

— Sądzę, że w tym względzie muszą mnie zapytać o zdanie — odpowiedziała ułagodzona już Ewa z uśmiechem.

— Uczynią to to dla formy. Jesteś zaangażowana do występów w rolach sopranu. Skoro w „Imperii" wyznaczono ci główną rolę sopranowej skali, nie masz prawa decyzyi dyrekcyi stawiać oporu.

— Wolno zawsze wystąpić z teatru, gdy nam wyznaczą niemiłe do spełnienia zadanie.

— Tak, ale w takim razie płaci się za zerwanie umowy; wiesz, ile musiałabyś zapłacić?

— Sto tysięcy franków, których nie posiadam; mogę się jednak o nie postarać. Fahrmann ofiarowywał mi przed paru miesiącami występy w Ameryce, obiecując zaliczkę pięćdziesięciu tysięcu franków; gdybym zażądała, podwoiłby chętnie sumę i byłabym zwolnioną.

— Zwolnioną od czego?

— Od śpiewania muzyki, która mi się nie podoba.

Laviron nic nie odpowiedział, pochylił głowę, z miną niezadowoloną zaczął się przechadzać po salonie i wreszcie rzekł:

— Pięknie to bardzo ponosić ofiary przez miłość dla sztuki. Nie myślę ci odradzać, abyś w twoim zawodzie ulegała tylko wpływom szlachetniejszych upodobań. Artysta nie jest potulnym okazem drobiu, karmionego w kurniku; to ptak wolny, szybujący w przestworzach niebieskich. Nie należy jednak dać się wyzyskiwać.

— Co pan przez to rozumiesz?

Laviron spojrzał na młodą kobietę wzrokiem przenikliwym, poczem znowu dłuższą chwilę przechadzał się w milczeniu. Ewa znając dobrze krytyka, wiedziała, że od udzielenia ważnych przestróg wstrzymuje go chęć oszczędzenia jej przykrości. To więcej jeszcze ją zaniepokoiło. Przeczuwała, że Laviron miał na myśli Derstala, że wspólny ich przyjaciel dlatego milczał, iż to, co miał do powiedzenia, było smutnym dla niej i dla muzyka faktem. Chciała koniecznie dowiedzieć się prawdy.

— Nie mogę sobie inaczej słów pana tłómaczyć — rzekła — jak tylko, że poświęcając moją karyerę artystyczną dla sławy Derstala, narażam się na zawód. Czy tak?

— Serce mężczyzny nie zawsze dorównywa wzniosłości jego inteligencyi — odpowiedział krytyk tonem chłodnym — najbardziej utalentowani ludzie przyczyniają nieraz bolesnego rozczarowania. Polegając na ich geniuszu, szukamy w nich bohaterów, a natrafiamy na natury bardzo pospolite. Derstal jest niezaprzeczenie znakomitym muzykiem, któż jednak ręczyć może, że będzie również wiernym przyjacielem i kochankiem? Czy zdolnym byłby do poświęceń, do jakich ty okazujesz gotowość? Czy umiałby cierpieć, aby lichym utworem nie wyrządzać talentowi swemu krzywdy, znosić niedostatek dla stworzenia prawdziwego arcydzieła. Potrafił to uczynić dawniej, gdy był nieznany, ubogi, teraz jednak zakosztowawszy odurzających narkotyków zbytku, czy zdobędzie się na szlachetny stoicyzm, dozwalający tworzyć jedynie piękne, pełne siły dzieła. Niestety, przyznać muszę, że mnie Derstal niepokoi. Wiesz, jakie nadzieje w nim pokładałem, wierzyłem, że on muzykę francuską wprowadzi na nowe tory, uwolni ją od ślepego naśladownictwa obcych wzorów. Kochałem go dlatego i dawałem mu jako krytyk poparcie. Obawiam się, czy nie zdradzi zaufania mego, i przestrzegam cię, drogie dziecko: nie daj się wyzyskiwać!

— Zdradzać sztukę, znaczy mnie zdradzać! — zawołała Ewa, blednąc. — Zbyt dużo powiedziałeś, kochany panie, iżby zatrzymać się w pół drogi. Mów, czego mam się obawiać.

— Oto, co doszło do uszu moich: Naciśnięty potrzebą pieniędzy i ulegając namowom nowych przyjaciół, którzy zbyt wiele mają na niego wpływu, Derstal przyjął propozycyę Towarzystwa, kierującego Operą w New-Yorku, zgodził się za sumę stu tysięcy franków, płatnych z góry, napisać utwór, przeznaczony dla Ameryki.

— Ah! — Brandonowie musieli go skłonić do takiej frymarki; obawiałam się zażyłych stosunków Oliwiera z tymi ludźmi. Nie omyliło mnie przeczucie. Jeśli jednak przyjął zobowiązanie napisania opery dla New-Yorku, będzie zniewolony uskutecznić to natychmiast: Amerykanie nie zwykli czekać długo na wykonanie obstalunku; żądają doraźnego spełnienia umowy, osiągania korzyści z wyłożonego kapitału.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Redaktor odpowiedzialny **Ludwik Masłowski**. Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.